CHCĄC PRZECZYTAĆ PISMO, TRZEBA JE KUPIĆ

PRAKTYCZNA PANI

Nr. 12

DOBRA OBYWATELKA

TYGODNIK ILUSTROWANY

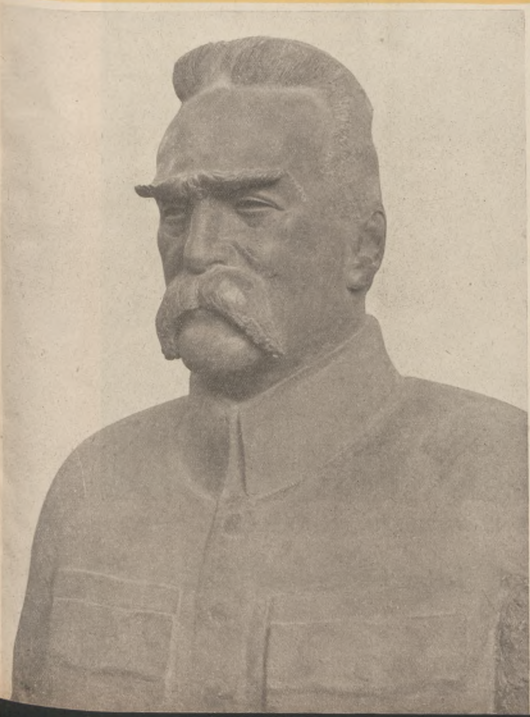
30 GROSZY

rok II

21 MARZEC 36

NUMER TEN ZAWIERA 24 STRON TEKSTU Z RYCINAMI I KOLOROWEMI MODELAMI SUKIEN ORAZ OSOBNY ARKUSZ Z TABLICĄ KROJÓW I WZORAMI ROBÓT

Franciszek Strynkiewicz: „Popiersie Marszałka". (z ostatniej wystawy w Ipsie).



TREŚĆ:

Prenumerata miesięczna 1 złoty



MODNY WIOSENNY KAPELUSZ.

STUDIO DORVYNE.



BLUZKA-ŻAKIECIK Z MIENIĄCEJ TAFTY Z CIEMNYM W ODPOWIEDNIM KOLORZE AKSAMITNYM KOŁNIERZYKIEM.

STUDIO DORVYNE.



Katedra na Wawelu gdzie pośród grobów Królewskich spoczęły doczesne szczątki Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.



Dzieci z bursy im. Marszałka Piłsudskiego (rok 1928).

ŻAŁOSNY DZIEŃ

Rok temu dzień 19 marca 1935 r. był dniem dziwnie smutnym. Ulicami szły tłumy, sztandary, orkiestry, pochodnie — pod opustoszały Belweder. Ponad wszystkiem unosił się jakiś smutek i przygnębienie.

Dziś wiemy — że było to Przeczucie.

Dziś — niema Go nietylko w Belwederze. Niema Go już wogóle na ziemi. W podziemiach Wawelu zostały szczątki człowieka, nareszcie odsunięte od tysiąca oczu zaglądających ciekawie w kryształową trumnę. I gdzieś wysoko nad nami i gdzieś głęboko w sercach został duch Sumienia Narodu.

I rzecz dziwna — po Marszałku Piłsudskim zostały jako pamiątki i wspomnienia tylko te dzieła, które były Jego cząstką i tylko te są dziś dla nas bez ceny.

Zostały Jego własne pisma, które przez szeregi pokoleń będą czytane, zawiodły natomiast wszystkie monografje, przez najbardziej utalentowanych ludzi pisane, gubiące w patosie słów i uwielbienia — znamię wielkości.

Zostały bezduszne pozornie fotografje, na których niejednokrotnie widzimy Marszałka w prostej, niedbale rozpiętej kurtce, bez orderów, bez buławy, bez wszystkich widzialnych oznak władzy — i te fotografje, te bez ludzkich komentarzy odbicia postaci, mówią nam o Marszałku stokroć więcej, niż dziesiątki portretów, z których żaden nie oddaje nawet cienia istoty wielkości, nawet symbolu, choć fantazja artysty rzuciła płaszcz gronostajowy na ramiona, mury Wawelu za tło, i nie zapomniała o wstędze orderowej przez pierś, ani o buławie w ręku.

Krótki życiorys, fotografja i zbiór przez siebie napisanych książek. To wszystko, to wystarczy, z tego wyczyta się i wielkość i nieustanną ofiarę i sąd o własnym kraju i o własnem społeczeństwie.

Szablonem stało się już powiedzenie, że Józef Piłsudski był człowiekiem samotnym.

Najlepsza i najprawdziwsza książka o Marszałku — „Strzępy meldunków" — gen. dyw. Sławoj-Składkowskiego — ukazuje w pełni, może nawet wbrew intencjom autora, okrutną samotność człowieka, otoczonego przecież ludźmi tak bardzo kochającymi i wiernymi. Oglądamy tam, jak w naukowo-doświadczalnym filmie, jak z dnia na dzień, z godziny na godzinę — samotny człowiek ugina się i przepala wewnętrznie pod ogromem ciężaru i odpowiedzialności na Jego tylko barki włożonym.

Minął już rok prawie od śmierci Marszałka. Życie idzie naprzód, na tydzień tylko wstrzymały się obrady ministrów, międzynarodowe rozmowy i konferencje.

I dopiero teraz czujemy, że trzeba pracować, bo już nikt niczego za nas nie zdecyduje, bo już niema poco oglądać się na belwederski pałacyk i z ulgą w leniwem sercu pomyśleć — „On to jakoś zrobi".

Bo On za nas wszystkich wszystko robił — przez lata, aż przyszła chwila, kiedy już nie mógł dalej — i odszedł na zasłużony dobrze odpoczynek; — a dla nas przyszła chwila obrachunku z dotychczasowego życia — na kredyt.

Zostaliśmy sami, z poczuciem braku najwyższego symbolu honoru i ofiarności. Jeden z najpiękniejszych wierszy, jakie ukazały się w żałobnym tygodniu majowym, pióra Kazimiery Iłłakowiczówny (Gazeta Polska) — mówi w ostatniej strofie:

„.... błagam was tchu resztkami
który w mej piersi zastyga,
O — nieście dalej sami
ciężar, który jam dźwigał!"....

I chciałoby się w ten żałobny dzień Imienin, złożyć Jego duchowi zapewnienie, jakąś uroczystą, zbiorową przysięgę, że może spać spokojnie w mrocznej krypcie Wawelu, że może uciszyć w sobie wieczny o naród niepokój.

Że będziemy nieść dalej, wszyscy razem — ten wielki ciężar pracy i obowiązku, jaki przez tyle lat dźwigał sam jeden — samotny człowiek z Belwederu.

Ewa Karska.

SERCE

W.R.K

Koguty piały rozgłośnie jakby przechwalając się swemi zdolnościami do czuwania, gdy w mroku styczniowej nocy, przez wycięte serduszko okiennicy Dangieliszkiego dworku błysnęło światło.

Jednocześnie prawie z jego błyśnięciem, ktoś wyszedł z czworaków odcinających się ciemniejszą plamą na tle ośnieżonego lasu i owijając się szczelnie kożuchem, spojrzał na niebo.

Chmurzyło się! Mróz zelżał i wiatr z północnego zmienił się na południowo wschodni, niosąc w sobie przejmującą do szpiku kości wilgoć. Człowiek ziewnął, przeżegnał otwarte usta i idąc w stronę dworku zaczął odmawiać pacierz:

— Szwinta Marija Motina Dieva mialskis už mums gresznum... — słychać było czasem głośniejsze litewskie wyrazy. Zbliżył się do okna i zastukał w okiennicę; — odpowiedziano mu dwukrotnem odpuknięciem i przybysz skierował się do ganku, którego kolumienki odcinały się wyraźnie w mroku swoją białością.

Nim przeszedł te kilka stopni, drzwi otwarły się i stanęła w nich postać niewieścia, ubrana w suto marszczoną samodziałową spódnicę, szeroki fartuch i krótki kożuszek, — głowę jej okrywała wełniana chustka stanowiąc obramowanie dla niemłodej twarzy pani Kulwickiej.

— A Pawcenis? — jak tam na dworze?

— ślad zasypie — odpowiedział zagadnięty.

— będzie śnieg? — Chwała Bogu!...

— Kury trzecie już...

— dzieci ubrane już — zaraz przyjdą.

— Czas!

Wszedł za kobietą do szerokiej sieni dzielącej domostwo na dwie części. Z lewej strony przez otwarte drzwi czeladnej czerniał w głębi masyw piekarnianego pieca. Z prawej słał się mrok bawialki, podkreślony przez światło w następnym pokoju.

Pawcenis jednem spojrzeniem ogarnął znajome wnętrze przy mdłem świetle pozostawionego na ławie stoczka. W oświetlonym pokoju trzynastoletni chłopak ubrany do drogi w długie buty i kożuch do kolan, przepasany barwną krajką, zapinał rzemyki tornistra, a młoda dziewczyna w samodziałowej spódniczce i wełnianej chustce śpiesznie wkładała krótki kożuszek.

Pozostawiając Pawcenisa w sieni, pani Kulwiecka weszła do pokoju.

— gotowiście? — zwróciła się do młodych.

— tak mamusiu!—odpowiedziała dziewczyna.

— a Jurek?

— zaraz cioteczko, tylko zapnę ten plecak, psiakrew! — te rzemienie takie twarde...

— trzeba było wczoraj tłuszczem nasmarować, tobyś dziś nie klął od samego rana.

— Przepraszam cioteczko — ale to tak... niechcący —

— niechcący lepiejbyś Boga wezwał do pomocy, ciężka droga przed wami!

— E! — czy to pierwszy raz? — mruknął lekceważąco chłopak.

— pierwszy — nie pierwszy — ale niepokój zawsze tensam. — Mój Boże... czy kto śnił kiedy, że Wilno dla nas, dla Dangieliszek będzie kiedyś zagranicą? Czy kto myślał, że mając wolną Polskę, my dzieci tej ziemi, co bojowników o jej wolność zawsze wydawała, — wykradać się jak z więzienia będziemy — z Dangieliszek do Polski pa naukę?... Panienko Ostrobramska...

— Mateczko! — nie czas na narzekanie — już trzecia dochodzi, a przed nami z górą dwadzieścia kilometrów drogi, pobłogosław nam i pójdziemy do Pawcenisa.

— Pawcenis już czeka! —

— czeka?... — trudno było określić ton tego pytania — było w niem i zdziwienie i przestrach, i żal rozstania, i niepokój przyszłości — i radość, że chwila oczekiwania nadeszła.

— Czekał — chodźmy jeszcze do dziadka. —

— Dziaduś nie śpi? — ucieszył się chłopak.

— czuwał od wieczora, modląc się o szczęśliwą podróż dla was.

— Kochany dziadek — szepnęła dziewczyna, otwierając drzwi w głębi; — przeszli na palcach kilka pokoi ciemnych, nim znaleźli się przed drzwiami, przez których szpary sączyła się smuga światła. Chłopak wyprzedził kobiety i zapukał leciutko, — w odpowiedzi usłyszał starczy zmieniony głos:

— Chodźcie...

Umeblowanie pokoju było więcej niż surowe: pod oknem zastawionem doniczkami stół niemalowany, wypolerowany używaniem, przy nim zwykłe stołki. W kącie żelazne łóżko, przykryte kilimkiem wileńskim, takiż kilim nad łóżkiem, a na nim — na pogiętej blasze obrazek Ostrobramskiej, — nad głową łóżka półka założona książkami. W kącie za piecem stołek z miską i dzbankiem wody, tylko na podłodze przed fotelem, przysuniętym do palącego się pieca, rozłożona wilczura, nadawała ton zamożności całemu pokojowi.

Przy ogniu w fotelu siedział starzec o pięknie uduchowionej twarzy i gdy młodzi podróżni nachylili się do jego dłoni, ogarnął obie jasne głowy rękami i przytulił do siebie. Chwilę tak trwali w milczeniu, potem zaczął mówić wypuszczając wnuków z objęcia.

— a no czas! — idźcie z Bogiem — i niech was Ostrobramska ma w Swojej opiece, pomódlcie się tam za mnie! — Bóg wie, czy zobaczymy się jeszcze, więc pamiętajcie com mówił — będziesz pamiętał? — zwrócił się do chłopca.

— będę dziaduniu!... kochać swoją zie-

mię, jak ci — co chlubą jej byli — wyrecytował jednym tchem.

— i prawym być! —

— i prawym dziadziu! — powtórzył z siłą chłopak.

— ale i silnym chłopcze! — nie dać się! — ciężkie będziesz miał życie: tam w Wilnie Litwinem będziesz przezywany — tu Polakiem, tam matka — tu ziemia; — bo jako Wołosewicz Dangieliszek musisz strzec i z rąk nie wypuszczać. — W duszy Litwinem bądź — bo to bracia twoi — a Polskę ukochaj jak matkę! — Swoje cierpienie jak codzień, tak i dziś ofiarowałem na intencję nowej Unji — mówił jakby do ognia.

— Cierpiał dziaduś? — nachyliła się czule nad starcem dziewczyna.

— a no trochę... kule tak łatwo nie wychodzą z ciała jak wchodzą — znowu mi tam wędrowała.

— bo dziadziuś nie chce zgodzić się na operację... szepnęła z wyrzutem.

— Nie! — tymczasem jeszcze nie — odparł stanowczo, — poczekam aż ty lekarzem zostaniesz — uśmiechnął się do wnuczki.

— ach dziadziu! — to jeszcze tak daleko...

— i możeś się już rozmyśliła?

— o nie! — zaprzeczyła żywo — Kulwiccy postanowień nie zmieniają!

— tak jak i Wołosewiczowie i dlatego usłyszysz nieraz o litewskim uporze

— Więc cóż z tego? —

— aha! — umiesz już tak odpowiadać? — to dobrze, — będą z ciebie ludzie... bo upór uporowi nierówny i o tem bracia Polacy z innych dzielnic muszą pamiętać, a wy ich tego swojem postępowaniem nauczyć.

— Uczył ich tego ktoś większy od nas i w nagrodę niema oszczerstwa, któregoby mu oszczędzono — szepnęła pani Kulwicka.

— A wiesz dlaczego? — zwrócił się do córki — bo stanął sam jeden!

— ma przecież przyjaciół oddanych — próbowała oponować pani Kulwicka.

— Przyjaciele, których swoim urokiem pociągnął, to nie bracia, którzy jedną pierś ssali i z jednej jadali miski!

— i na jednym kobierczyku plagi odbierali — dorzuciła żartem dziewczyna.

— a chociażby! — myślisz, że i plagi nie jednoczą? — Zobaczysz, że duchem nietylko ogarnął całą Polskę, ale i w sercu swem napewno chciałby ją i z Litwą zjednoczyć, — bo tak zrósł się z tą ziemią i z nami, że to serce już na zawsze naszem zostanie! Zajmiemy w niem zawsze pierwsze miejsce — boć i on tu dziś u nas pierwszy. — Dokończył w zadumie spoglądając na portret tonący w mroku.

— Alboż on myśli tam o nas? — tyle go obchodzimy co zeszłoroczny śnieg! — mruknęła pogardliwie dziewczyna.

— Oleśka! — co ci się stało?...

Lecz dziewczyna już się zreflektowała i z zaczerwienionemi nagle oczyma schyliła się do starczej ręki.

— Nic dziadziu! — tylko już trzeba iść... — szepnęła cichutko. Stary, objął ją mocno.

— A no idźcie z Bogiem! Serce masz gorące, umiesz tylko kochać, albo nienawidzieć jak twój ojciec, wieczny mu spokój daj Boże, bo za ojczyznę zginął; — morałami was nie przerobić — życie to może wystudzi: — Ja ci tylko jedną dam radę: — gdy masz coś znienawidzieć — przekonaj się napewno że to złe, — posłuchaj co mówi wróg i przyjaciel, a wtedy urobisz własne zdanie, tak samo i z miłością — przyrzekasz?

— postaram się dziadku.

— No to idź z Bogiem — nakreślił krzyżyk na jej czole i przeżegnał schyloną głowę, a ona uklękła przy nim i nie wstydząc się, całowała okryte derką kolana.

Jurek tak samo pochylił się do kolan, bo matka już niepokoiła się:

— Czas!... szepnęła ledwo dosłyszalnie.

— Idziemy!...

Schylili się raz jeszcze do rąk dziadkowych, a on głośno zaczął odmawiać staroświecką modlitwę za podróżnych:

— Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba— bądź nam na wsiadaniu pomocą, w drodze pociechą, w upałach ochłodą, w deszcz i chłód zasłoną, w znużeniu zasiłkiem, w przeciwności obroną, w niebezpieczeństwie podporą, w zatonięciu portem. — Na drogę pokoju i pomyślności niech was anioł Rafael prowadzi, a Jezus Miłosierny nam towarzyszy, iżbyśmy w pokoju zbawieniu i weselu powrócili do własności swojej:

— Amen — odpowiedziały zgodnie trzy głosy.

— Teraz usiądźcie chwilę — rozkazał dziadek. Posłusznie zajęli miejsca. Jurek na stołku, Olesia na krześle, nawet pani Kulwicka usiadła na ławeczce pod piecem — i tak siedząc milczeli wszyscy na intencję pszczół mających wyroić się w tym roku w pasiece Dangieliskiej.

Wiatr stuknął źle zaczepioną okiennicą i pan Wołosewicz skinął dłonią:

— Idźcie — już czas!

Opuścili pokój — w skupieniu przeszli z powrotem do oświetlonej izby, gdzie, pani Kulwicka błogosławiąc na drogę bratanka, poprawiła mu jeszcze szalik na szyi, córkę uściskała serdecznie i schowała jej pasma włosów wymykające się z pod chustki. Gorączka podróży przemagała już żal rozstania. Wyszli na ganek. Pawcenis szedł przodem nie widząc, że Jurek skoczył jeszcze do budy ulubieńca Łaty i podał mu wyciągnięty z kieszeni kawał kiełbasy:

— Bierz Łata! — i pamiętaj piesku, że wrócę tu z Polski, bo dziadek i dziś powiedział, że Dangieliszki moje, tylko muszę uczyć się jeszcze.

Pies merdał ogonem i pozostawiając kiełbasę na śniegu wspiął się łapami na ramiona chłopca i liznął go po twarzy. Chłopiec wziął go obu rękami za uszy i szeptał zwierzenia:

— teraz idę do mamy, a na Wielkanoc przyjdę do dziadka, — i tu i tam mój dom, —choć tu Litwa, a tam Polska — rozumiesz Łata?

Pies skomlał cichutko jakby odpowiadając:

— Rozumiem! — idź spokojnie, czy Litwa czy Polska to jedno! — Jurek przynajmniej tak zrozumiał odpowiedź Łaty, bo nachylił się i szybko ucałował gładki łeb brytana szepcąc:

— Dowidzenia Łata! — czekaj na mnie, to nic, że ojczym nie chce — ja tu wrócę! — To moje!

W ciszy nocnej rozległ się śmiech puszczyka, chłopak skoczył i zniknął za ośnieżonemi krzakami bzu w końcu ogrodu. Prędko przyłączył się do dwojga idących. Pawcenis szedł przodem, za nim Olesia, Jurek zamykał pochód. W najgłębszem milczeniu dotarli do lasu i zaczęli kluczyć, by zmylić ślad, mimoto jednak — choć powoli — lecz stale posuwali się w obranym kierunku. Szli narazie bez przeszkód, tylko na polance koło dębów prawie z pod stóp ich wyskoczył dzik spłoszony jeszcze więcej niż nasi podróżni. Upłynęła godzina, gdy na skraju lasu dojrzeli poruszające się światło, zeszli więc z ledwo widocznej ścieżki i przytulili się jak mogli najszczelniej do grubych pni drzew, patrol jednak nie skręcił w ich stronę i gdy światło znikło odetchnęli głęboko, lecz milczenia nie przerywali. Las kończył się. Pawcenis zatrzymał się, wyjął z zanadrza dwa prześcieradła i otulił młodych, sam nie zabezpieczał się w ten sposób, choć przed nimi rozciełała się ogromna płaszczyzna zamarzniętego jeziora. Teraz zaczęli posuwać się szybko, lecz ostrożnie, nasłuchując i rozglądając się bacznie. W połowie jeziora wezbrała w nich radość, gdyż zaczął padać śnieg, nie zdradzili się jednak z zadowolenia nawet żywszym ruchem, nietylko głosem. Brzeg zbliżał się, a za brzegiem zarośniętym szuwarami i łozą czerniały zabudowania wsi. Nie chcąc zmylić drogi musieli ją minąć całą wzdłuż i to było najniebezpieczniejsze, kryły ich narazie szuwary, lecz te prędko skończyły się, pozostawiając podróżników wystawionych na wszelkie niebezpieczeństwa. Na strach jednak nie było czasu, przyspieszali jak mogli kroku, bo wyszli już na stary gościniec. Droga była ubita, więc iść lżej było, to też niedługo znowu zaczerniły się przed nimi domostwa.

— Sudejki? — spytała półgłosem dziewczyna.

Pawcenis ruszył głową.

— Za nami już! — szliśmy jeziorem, to ominęliśmy, to już Uciany...

— Bogu dzięki! — wyrwało się z ust chłopca. W uszach mu już dzwoniło ze zmęczenia, a naprężone nerwy sprawiały, że czuł jak serce podchodziło do gardła.

— Nie ciesz się zawcześnie — patrol przed nami — szepnęła dziewczyna.

— i zdaje się z psem — dokończył Pawcenis.

Serce Olesi zaczęło bić jak młotem. — Boże! ratuj—modliła się w duchu—jeśli z psem, tośmy zgubieni! — Matko Najświętsza, już nigdy nie będę narzekała na internackie jedzenie, tylko daj, żeby bez psa byli — Matuchno Najdroższa! — Skryli się w rowach przydrożnych po obu stronach gościńca, dzieci nakryte prześcieradłem nie odróżniały się od śniegu, tylko Pawcenis szedł śmiało naprzód.

— Stój! — kto idzie? — rozległo się po polsku. Olesia przylgnęła do śniegu, jakby chciała schować się pod ziemię — Jurek ukradkiem obserwował. Drogą szło dwóch żołnierzy w krótkich kożuszkach z karabinkami na plecach, jeden z nich trzymał na smyczy psa. Pawcenis szedł ciągle naprzód.

— Kto idzie? — powtórzył żołnierz ujmując karabin.

— A toć ja, panie żołnierz — Pawcenis! Adam Pawcenis!

— Pawcenis? — z Ucianiszek?

— także ja panie!

— pokaż no się! — Stachu zaświeć latarką. — Błysnęło światło i żołnierz już innym tonem zapytał:

— czegóż to włóczysz się po nocy?

— chodziłem do Wielkich Ucian do znachora — krowa mi nagle zachorowała!

— a czy nie przypadkiem na spotkanie tego brata z Litwy? — co to taki do ciebie podobny, że gadają — że i rozróżnić was nie można?

— at panu żarty w głowie! — gdziebym ja po nocy z Ucianiszek chodził brata szukać? — nie był to pan u nas zeszłej niedzieli? — nie gadali tam, że mój brat i słowa po polsku nie umie, taki zajadły! — on na mnie już i patrzeć nie może, że ja polski Litwin — nie litewski.

— No idź z Bogiem — a nie spotkałeś tam kogo po drodze?

— nie! — tylko koło Szaulickiego zaścianku zdawało się mnie, że ktoś konno jechał.

— Może złodziej? — nie zauważyłeś?

— e! — prędzej przemytnik — konia do Litwy prowadził.

— psiakrew! — zaklął żołnierz, trzeba jednak dojść do Szauliszek, a to za dwa kilometry jeszcze stąd! — Cicho Łata! — nie wyrywaj się, to swój... No dobranoc panie Pawcenis. — A córkę Drabikowi dajcie, to dobry chłop — będzie miała walnego męża! — zaśmiał się odchodząc.

— Niewolić nie będę! — zechce to pójdzie.

— Dobranoc!
— dobranoc.
Wiatr nawet echa rozmowy oddalających się nie przynosił, gdy Olesia i Jurek — podnieśli się z rowów i ruszyli dalej; zdrętwiali i zziębnięci od długiego leżenia przyspieszali jak mogli kroku. — Cel już był zupełnie blisko.
Dom Adama Pawcenisa stał na samym początku wsi. — Zbliżyli się do wysokiej bramy, zamkniętej tylko na skobel i weszli w małe kwadratowe podwórko utworzone z przylegających do siebie węgłami gospodarskich budynków. Pawcenis zbliżył się do okna i znowu rozległ się głos puszczyka. W odpowiedzi drzwi cicho otworzyły się i stanął w nich wieśniak tylko w bieliźnie i kożuchu narzuconym na ramiona, pytając półgłosem:
— Daniel?
— ja!
— dzieci do szkół?...
— tak.
— Czekałem na was — już byłem niespokojny...
— jesteśmy.
— chodźcie do izby.
— lepiej nie — żmudziliśmy z patrolem prawie godzinę — na pociąg nie zdążą, zaprząż konie i jedź.
— Czyj, patrol?
— wasz!
— kto był?
— nie znam.
— prawda! — jest dwóch nowych, Noga i Drabik.
— Ten Ewki?
— już powiedzieli?
— aha!
— co mówili?
— żebym dał Ewkę.
— A ty?
— że niewolić nie będę.
— tak samo jak ja!
— bracia jesteśmy!
— djabli nadali granicę! — Pani zdrowa?
— tylko markotna.
— wiadomo wdowa — z dziećmi. — A pan?
— wnuka hołubi!
— nie dziw — dziedzic!
— Ciężko jemu będzie z polskich szkół!
— jeszcze ciężej z litewskich — bratu w oczy pluć!
— to i pan gada.
— Legumin nie dali?
— tyle co unieśli!
— będzie panience głodno.
— Ją z chaty nie gonili...
— nie gonili, ale między panami moda nastała, że i dziewczęta trzeba uczyć.
— Niech uczy się...
— ucząc się biedować ciężko!
— życie nie miód.
— prawda! — ale jej żal!
— Żalem nie nasycisz.
— dam jej bochen chleba?...
— i wędzonki...
— i serków parę?...
— tyś brat...
— Daniel!... żeby djabeł porwał tą granicę!
— albo Bóg odmienił...
Dwa żmudzkie koniki z długiemi ogonami i rozpuszczoną na wiatr grzywą stanęły w czasie tej rozmowy zaprzężone do „rozwalíń" t. j. dużych gospodarskich sań, w których wygodnie pomieścili się oboje młodzi. Daniel Pawcenis ulokował ich, starannie okrywając znalezionemi w wozowni derami i kożuchami. Adam poszedł ubrać się do drogi. Wrócił niedługo niosąc nieduży, ale ciężki worek i dużą chustkę. Zbliżywszy się do sanek zakomenderował:
— Jurek w siano pod kożuchy i spać! — mrozu niema i do matki jedziesz — to nie zmarzniesz. — Panienka niech dobrze okryje się...

— Dziękuję! — dziękuję bardzo panu — szepnęła otulając się w miękką chustkę.
— Nie żaden pan, — Pawcenis taki sam jak i Daniel.
— Co? — rozległo się w mroku.
— z panienką baję — a ty idź spać do świetlicy!
— w świetlicy śpisz teraz?
— w komorze zimno i teraz tam jałowiczyzna.
— Krowę zarżnąłeś?
— wczoraj wieczór zachorowała, musiałem dorżnąć!
— tak? — ja do Ucian Wielkich do znachora chodził dla niej.
— Takeś rzekł? — w głosie Adama drgał śmiech.
— było zaprzepaścić taki grosz?
— Prawda! — Idź teraz spać i śpij choć ze dwa dni, na jutro wieczór będę z powrotem. — Do Ucian Wielkich daleko, a ja niemłody — trzeba wypocząć — Ewka doglądnie!
— Agaty niema?
— popełzła na odpust, nikt nie rozgada.
— z Bogiem panienko.
— z Bogiem Pawcenis — Bóg zapłać!...
— w Ostrej Bramie pacierz zmów, żeby dur z ludzkich głów odleciał.
— dobrze Pawcenis — pomodlę się, żeby granicy do mamy nie było!...
— z Bogiem bracie.
— z Bogiem! — w pieczurce w szczytku jest barszcz i kasza, a na stole mleko i chleb.
— Bóg zapłać! — z Bogiem.
— z Bogiem!
Adam Pawcenis biczyskiem nakreślił krzyż nad końskiemi głowami i ruszyli przez bramę. Śnieg ustał i gwiazdy wyiskrzały się na niebie coraz gęściej, koniki zamiatając ogonami ziemię, zdawały się nie tykać jej kopytami, sanki sunęły gładko po ubitej drodze. Olesię sen morzył, Jurek zakopany w siano i kożuchy już spał jak suseł. — Jechali tak kilka godzin, gdy nagle Olesię wstrząsnął dreszcz — otworzyła oczy — sen odleciał nagle bez śladu, a świadomość zaostrzyła się poczuciem grożącego niebezpieczeństwa.
Jechali przez zagajniki wyciętego przez Niemców lasu, — konie chrapały nerwowo i śmigały jak wiatr. Pawcenis dostrzegł otwarte oczy Olesi.
— Nic panieko! — Uciekniemy!
— Wilk?
— dwa panienko.
— pojedziemy przez Derewę?
— jeśli zamarznięta — tak!
— a jeśli nie?
— Bóg da zamarznięta — mróz trzymał te dni.
— Koło Czarnego Brodu wiry — może puściła?...
— e! — Pan Bóg nie opuści, kto się nań spuści.
— wilki teraz głodne...
— do Gromnic czas — to i łażą po świecie!
Wyjechali z lasu. Sanki rwały co koń wyskoczy w stronę zarysowującego się brzegu. — Wilki zatrzymały się przy ostatnich krzakach i podnosząc śpiczaste pyski w stronę ukazującego się księżyca — zaczęły wietrzyć.
Ostatnia kwadra opalizując obłoki wysunęła się wprost przed oczy jadących, jakby gościnnie prowadząc w swój kraj uśpiony pod białem przykryciem.
Wtem konie zatrzymały się nagle i chrapnęły, gospodarz zaciął je batem,



lecz zamiast ruszyć wprzód stanęły dęba. — Wyskoczył więc z sanek i poszedł naprzód zbadać przyczynę przestrachu. Konie chrapały i kręciły się na miejscu, Olesi już ręce mdlały od ich trzymania, gdy wrócił Pawcenis; mina jego nie wróżyła nic dobrego.

— Djabli nadali — mruknął odbierając lejce.

— co się stało?

— nie chcę panienki manić — lód jest ale pod wodą.

— i co teraz?

— trzeba zawrócić i...

Nie zawrócili jednak, bo z lasu rozlegało się przejmujące do szpiku kości wycie, a po śniegu zbliżały się szybko czołgające się cienie. Skok je tylko dzielił od sanek — nie pomogły żelazne dłonie Pawcenisa, konie wzięły na kieł i ze straszliwą siłą runęły na prawo przez rzekę.

Lód załamywał się pod płozami, — woda bryzgała na wszystkie strony, konie jednak cudem utrzymały się na powierzchni i rwały jak szalone. Olesia głośno rwącym się głosem odmawiała: Kto się w opiekę.

Czy ta warjacka jazda trwała sekundy, czy całą wieczność — nie wiedziało z nich żadne. Ocknęli się oboje, gdy konie zziajane, okryte pianą, utknęły w krzakach. Obejrzeli się za siebie. — Stromy brzeg rzeczki, na którym stali, spadał prawie pionowo do lodu, na którym teraz czerniła się głęboka bruzda wody. Jakim cudem przejechali łamiący się lód i wjechali na to urwisko — nie mieli pojęcia, tylko po drugiej stronie, w łozach przywarowały dwa bure cielska, śledząc iskierkami oczu poczynania tych, których oddzieliła granica nie do przebycia dla drapieżników.

Pawcenis wyjął kłak siana i wytarł nim konie, potem przykrył je derką, ściągniętą z Jurka. Chłopaka to jednak nie obudziło, spał mocno, zakopany w kożuchy i siano.

Pawcenis głaskał konie, przemawiał do nich i klepał pieszczotliwie, — rżały już cichutko i chwytały go chrapami za ubranie, jakby opowiadając przeżytą mękę panicznego strachu. Pawcenis im odpowiadał, aż porozumieli się wzajemnie — wyprowadził więc je na drogę, zdjął derę i wsiadłszy do sanek śmignął w powietrzu batem.

Ruszyły z miejsca — bieg ich nie był już tak szybki, jak po wyruszeniu z domu, nie pozostawiał jednak nic do życzenia, bo w dwie godziny później ujrzeli las słupów telegraficznych znaczących tor kolejowy, a z szarego świtu wyłoniły się Dukszty.

Do pociągu było pół godziny. Przy kasie tłoczyła się różnorodna publiczność, przeważnie młodzież powracająca do szkół i żydowstwo. Olesia z za staniczka wyjęła polskie szkolne legitymacje i skierowała się po bilety.

Słońce wschodziło zapalając promieniami wszystkie kolory tęczy na leżącym śniegu i w soplach lodu zwieszających się z dachu stacyjnego budynku. Peron zaczął ożywiać się, gdyż na horyzoncie, od granicy Łotwy ukazał się biały obłoczek, zwiastujący zbliżanie się pociągu. Pawcenis z Jurkiem, wraz z innymi pasażerami zajęli miejsce przy brzegu peronu, żeby nie dać się ubiec przy wsiadaniu. Z sykiem wtoczył się ogromny parowóz i odetchnąwszy zatrzymał bieg, z wagonu wyskoczył konduktor z przeciągłem wołaniem:

— Dukszty! — pięć minut...

Olesia już była przy Jurku i weszła do wagonu, a jednocześnie z jej plecakiem Pawcenis podawał swój worek i patrząc na nią poczciwem spojrzeniem siwych oczu, wyrzekł prosząco:

— Panienko, — to od matki, — z Litwy — trochę legumin, — weź panienko!...

Dziewczynę wzruszył wyraz twarzy starego i serdeczność ofiary — ujęła więc worek i zaczerwieniona wyrzekła z prostotą:

— Bóg zapłać Adamie Pawcenis!

— Ot to — to! — ucieszył się stary — panienka jest mądrzejsza niż myślałem, napewno zostanie doktorem!

Na twarzy dziewczęcia ukazał się wyraz niezłomnej woli i stanowczości, który postarzył ją trochę, lecz dodał niezwykłej mocy jej słowom:

— Zostanę Adamie Pawcenis!

— Z Bogiem, dzieci!

— Z Bogiem!

Pociąg ruszył. Wir przeżyć i zmęczenie tworzyły chaos w głowie Olesi i dziwiła się wypoczętemu Jurkowi, że z takim apetytem zabiera się do jedzenia. Ona nic jeść nie mogła, musiała przedewszystkiem wypocząć i z utęsknieniem myślała o swojem koszarowem łóżku w „Konopnickiej".

Internat, w którym mieszkała, miał dziesięć pokoi, — każdy z nich nazwany imieniem którejś z wielkości kobiecych, wszystkie one jednak miały tę wspólną cechę, że były przeraźliwie zimne i męczące, gdyż dziewczęta nie mając sali rekreacyjnej, przebywały stale w swych izdebkach, a ziębnięte najchętniej zawijały się w koce, tworząc z łóżek niesamowite legowiska. Wszelkie nawoływania do porządku działały tylko wtedy, gdy na horyzoncie zjawiała się jakaś komisja, inspekcja, czy inne niepożądane licho. Niestety dla dziewcząt przychodziły one stanowczo za często, a ponieważ miarą wielkości odwiedzającej osoby, było mniej lub więcej gruntowne sprzątanie internatu, na czem najwięcej cierpiały zaniedbane w ten dzień lekcje, dziewczęta wszystkich wizytujących klęły serdecznie. Internatek było trzydzieści. Uczenice rozmaitych szkół, dziewcząt z różnych środowisk i o zróżniczkowanej inteligencji, — były to sieroty po poległych wojskowych, ptaki, które zły wicher burzy dziejowej wyrzucił z gniazda, skazując na łaskę społeczeństwa.

Społeczeństwo to jednak, było samo tak ubogie i tak wytrącone z równowagi przeżywanemi wypadkami, które pani Historja jakby od niechcenia, lecz nieubłaganie kreśliła śpiesznemi pociągnięciami, nic więc dziwnego chyba, że społeczeństwo to, odnosząc się z ogromnem współczuciem i sympatją do „wojennych sierot" w krzyczących filantropją artykułach i przemówieniach, — na codzień miało skrzywione oblicze pani kierowniczki, która również czuła żal do świata i ludzi, za przeżyte wstrząśnienia, ale przedewszystkiem do swoich pupilek, które całem swem postępowaniem, podkreślały degradację społeczną, jaka ją spotkała, gdy w braku innych środków do życia objęła kierownictwo tego internatu.

Do roli tej, jeśli i przygotowywała się kiedyś, to napewno inaczej wyobrażała sobie swoje pupilki. Były to prawdopodobnie wzorowo grzeczne dziewczynki, w jednakowych mundurkach i czystych fartuszkach, prowadzone za rączkę pierwszej pary, równemi szeregami do kościoła i na spacer, — dygając grzecznie przy każdem spotkaniu kierowniczki i miłym szeptem powierzając sobie swoje niewinne, dziecięce sekrety.

Rzeczywistość okazała się gorszą od najczarniejszych przeczuć, gdyż legitymacją, upoważniającą do przyjęcia do internatu, były dowody śmierci ojca w obronie granic Najdostojniejszej Rzeczypospolitej. Przy przyjmowaniu nie pytano — kto rodzi, ani skąd wywodzi.

Ale nawet między tą zbieraniną od studentek uniwersytetu począwszy, poprzez wszystkie typy szkół fachowych, a kończąc na uczenicach szkoły powszechnej, było kilka miłych dziewcząt, umiejących uszanować starszych i władzę. Bolało tylko serce pani kierowniczki, że tym szacunkiem i zaufaniem w stosunku do niej odznaczały się przeważnie te, które nie miały za sobą możnych protektorów, przed którymi mogłaby pani kierowniczka podkreślać szlachetność swego wpływu przy urabianiu subtelnej duszy dziewczęcej. Te, które miały tych protektorów, były tak niemożliwie zbolszewiczone i aroganckie, że pani kierowniczka wolała im dać wolną rękę we wszystkiem, nie narażając się na niepotrzebne afronty.

Dziewczęta były prawie wszystkie dorosłe, a warunki w internacie sprawiły, że każda prócz nauki chwytała jakibądź fach czy zajęcie, by mieć — jak mawiały — ręce o co zaczepić, a w miarę możności i pożegnać się ze znienawidzonym internatem, który dawał dach nad głową — i miskę czegoś, co nazywano zupą, z dwustu gramami razowego chleba. Tak też było z Olesią, która szykując się do matury, nauczyła się kapelusznictwa i teraz jadąc, u jakiejś „ultra-modnej" pani widząc wiosenne nakrycie głowy, przypomniała, że zostawiła, dwa wzięte do wykończenia kapelusze, na drewnianych manekinach, na łóżku; i niepokój ją ogarnął, czy aby całe zastanie. Zaraz więc na dworcu zatrzymała Jurka, by się pożegnać.

— Nie przyjdziesz do nas? — zapytał chłopak.

— Może — kiedykolwiek. Wiesz, że nie lubię twego ojczyma!

— Ani ja — przyznał otwarcie.

— No dla ciebie on dobry, dba o szkoły i o wszystko.

— Ale nie chce, bym chodził do dziadka. Mówi, że narażam się i że Dangieliszki trzeba będzie sprzedać.

— Głupi on! — Wołosewiczów Dangieliszki sprzedać! To mógł tylko pan Mazurek wymyślić.

— Pewno, że głupi! — zgodził się chłopak.

Pożegnali się. — Jurek zawrócił na Sa-

dową, lecz obejrzał się jeszcze za kuzynką i krzyknął:

— Oleśka! — a ten pies też nazywał się Łata — aha!...

Oleśka skinęła głową i obarczona swoim plecakiem i workiem Pawcenisa skierowała się w stronę Ostrej Bramy.

Wilno tonęło w bieli. U wylotu Ostrobramskiej, pod mostem kolejowym uliczznicy urządzili sobie ślizgawkę. Po obu stronach jezdni leżały wały zczyszczonego z chodników śniegu, na ulicach ochoczo i dyskretnie dzwoniły janczarki małych, w jednego konia zaprzężonych saneczek. Olesia westchnieniem ulgi powitała mur Ostrej Bramy i ocieniony drzewami wylot uliczki Piwnej. Z uśmiechem jak zwykle spojrzała na małe, zabawne drzwiczki, prowadzące wprost z muru do kościoła świętej Teresy. Pod filarami odwróciła się na chwilkę, by przywitać „Zdrowaśką" ciemną twarz „Wielkiej Księżny Litewskiej", która i Polską Koronę dźwiga na skroniach.

Ruszyła dalej. Ruch poranny był w całej pełni, dzieci śpieszące do szkoły, służące z koszykami, paniusie w przedpotopowych kapeluszach, wszystko to śpieszyło, potrącało się i wyprzedzało wzajemnie — podkreślając każdym ruchem, że czas to pieniądz.

Olesia weszła na schody; już w pierwszym korytarzu doszedł ją zapach bobkowego liścia, której to przyprawy kucharka internatu używała obficie zamiast realniejszej okrasy. W pokoju „Konopnickiej" było cicho. Olesia ze zdziwieniem spostrzegła, że przybyło czwarte łóżko. Główki z kapeluszami, na które padło jej pierwsze spojrzenie, były nienaruszone i to ją odrazu wprawiło w dobry humor.

— Hallo! — Chucherska! — kto przybył?

— Łącka! — odpowiedziała zagadnięta niska, drobna, o szarej twarzy dziewczynka, starając się naprawić nieposłuszny cyrkiel.

— Jakże z tobą Chucherko — kaszlesz ciągle?

— W tamten czwartek nawet krew mi się rzuciła — ot kierownica zatańczyła — odparła z cieniem przechwałki.

— Co ty mówisz? — sprowadziła doktora?

— To, co słyszysz, — a doktora nie sprowadziła, bo i tak miał przyjść w sobotę!

— I był?

— Nie był!

— Czarownica!... Ależ ty Wandziu leżeć musisz.

— Dziękuję pięknie — wiem sama co muszę: — kreśleniem zarobić na buty i złożyć maturę. Choćbym potem miała skonać na ulicy — byleby nie w internacie!

— Wanduś! — Kto cię skrzywdził?... Olesia miękkim ruchem objęła głowę dziewczęcia.

— Kto skrzywdził? — dobrze ci pytać, gdy objadłaś się u matki frykasów, dobrze ci pytać, gdy sobie przywiozłaś na cały miesiąc wyżerki, — nie bój się, nie chcę nic od nikogo, — ale djabli człowieka biorą, gdy pomyśli, że są ludzie, którzy codzień mają kartofle ze słoniną. A tu?... Ty wiesz czem nas tu od tygodnia karmią? — jęcz-mien-nym krup-ni-kiem!...

— Ja bardzo lubię jęczmienny krupniczek — mityguje Olesia.

— Lubisz! — To dobrze. Kierownica się ucieszy, że choć jedna istota będzie zadowolona. Krupnik jest bardzo smaczny! — nie żałują do niego ani soli, ani bobkowych liści i żeby wprowadzić jeszcze jedną rozmaitość, dostali skądś worek jęczmiennych krup, zaprawionych obficie szczurzym nawozem, jak ugotują, to zupa nabiera koloru burego, a gęstwina?... br... ohyda! Dość powiedzieć, że nawet „czarna Helka" jechała w świat!... A ona przecież je wszystko jak zamknie oczy. Brr!... — dziewczyna zatrzęsła się z obrzydzenia.

Olesia już szperała w worku Pawcenisa. Ukroiła pajdę chleba i kilka plastrów wędzonki i podając koleżance mówiła szybko:

— Mylisz się Wanduś — od mamy wyżerki nie przywiozłam, bo Litwini straż graniczną zmienili i z polskiej strony wzmocniona, więc baliśmy się przejechać furką; — dziś dwa razy idąc natknęliśmy się na patrol, od mamusi wzięłam tylko mleko i to z myślą o tobie mój cielaczku — dodała żartobliwie. Zagrzałabym zaraz — mówiła dotykając pieca, ale do kuchni nie chcę iść kłaniać się. Kiedy u nas ostatnio palono?

— Palenie przypada jutro, ale temi trzema polanami nie napalisz, — jeśli przyjdzie Irka, to poprosi chłopców, żeby rąbiąc, schowali kilka polan do śmietnika.

— Książę zawsze rąbie?

— I książę i Rogowski i ten czarny medyk i Zygmuś — nie masz pojęcia ilu jest teraz amatorów do rąbania!

— A kierownica pilnuje?

— Jeszczeby nie pilnowała! Tylko jak książę zacznie opowiadać co działo się w korpusie paziów, a wypominać parantelę, a gadać co widział w carskich pałacach, gdy wybrani paziowie szli bawić się do carewicza, — powiadam ci!... Rogowski raz całe naręcze przyniósł do naszego pokoju. — a ona nic nie widziała, taka była rozanielona wspomnieniami o wyższej sferze...

— Zuch książę!

— A zuch! — jednem okiem patrzy na kierownicę, a drugiem czy dość drzewa chłopcy po wszystkich kątach nachowali.

— To dlaczego nie zrobiłyście zapasu?

— Był zapas, ale Łącka wszystko wyciągnęła!

— Prawda — czemu Łącka jest u nas?

— Bo w „Pustowojtównie" zachorowała Milka, — nikt nie wiedział co jej jest, dziewczęta mówiły, że to napewno te myszy zaszkodziły, — kierowniczka dla odmiany dała jej kartofli, a dziewczyna tak się ucieszyła, że aż pogorszyło się jej. Łącka jak zwykle pielęgnowała, wszystko drzewo spaliła, a onegdaj uciekła do nas twierdząc, że Milka ma tyfus plamisty i wszy! Hela tyle u swojego profesora zrobiła, że zabrali dziewczynę karetką do szpitala.

— A Hela co mówiła?

— Hela z Łącką to buty z jednej pary: — doktór i akuszerka. Zgadza się, że tyfus, żeby nie one, tobyśmy tu wszystkie powyzdychały przy tej dobroczynnej opiece.

— I na złość wszystkim nie powyzdychamy — zawołała wchodząc szczupła, niska, szatynka. Ty Wanda zawsze patrzysz przez czarne okulary. Życie jest cudowne!...

— Forsę za korkę dostałaś?...

— I forsę dostałam — i znowu korkę za obiady! Trochę daleko, bo aż na Pośpieszce, — ale pomyśl, codzień obiad: gorąca zupa i mięso. Uh! Jak ja będę gryzła... Na samą myśl, gotowa jestem pogryźć stary trzewik dla wzmocnienia zębów!

— A może wolisz „powodzenie", — wtrąciła Olesia podając przylepkę, — wiem, że przepadasz za masłem, więc nasmarowałam — uśmiechnęła się filuternie do koleżanki.

Irka skoczyła z miejsca i zakręciła Olesią w szalonym oberku.

— Oleśka — na miły Bóg! — nasza litwineczka we własnej osobie! — to „Konopnicka" teraz użyje! — Wiwat, niech żyje Litwa!

— I jej leguminy — dokończyła bardzo wysoka i bardzo szczupła blondynka wchodząc do pokoju. — Oleśka, kiedy przyjechałaś? — a ja do was sprowadziłam się — nie gniewasz się? — pytała nachylając się nad zadyszaną od tańca dziewczyną. Ale coś mizernie wyglądasz, nie wyspałaś się jeszcze? Połóż się zaraz, zamkniemy drzwi na klucz i niech choć kule biją!...

— Chętnie położę się, tylko chciałam zagrzać trochę mleka dla Wandy, może ty mnie wyręczysz?

— Ależ najchętniej, skoczę na dół do piekarni — tam napewno pozwolą.

— Wando! — Łącka wypije połowę i ty jej dajesz? — wołała Irka. — Wanda wzruszyła ramionami.

— Ciebie tobym mogła posądzić, ale Łącką? Ona trzy dni nie będzie jadła, a na czwarty odda swoją porcję głodniejszemu. Lepiej idź żuczku zobaczyć, czy drzewa nie rąbią? — przydałoby się napalić dzisiaj.

— I ugotować kartofli. Słuchaj Olka, urządzamy dziś bal dla „Konopnickiej", ty dasz słoniny, — ja kupię kartofli i postaram się o drzewo. Zgoda?

— Zgoda! — zgoda! — prosiła Olesia, tylko na miłość boską, dajcie mi trochę zasnąć, bo ledwo stoję — mówiąc to pełożyła się na łóżku, przykrywając się kożuszkiem i zasypiając natychmiast. Po wyjściu Irki, Wanda zdjęła ze swego łóżka koc, przykryła śpiącą i zabrała się do dalszego kreślenia. Łącka przyniosła zagrzane mleko i nalała do kubka, podając go Wandzi. Poprawiła na śpiącej koc i kożuszek, zsunięte w czasie snu i widząc przytem, że Olesia zasnęła w bucikach, zaczęła je ostrożnie rozsznurowywać. Dziewczyna nic nie czuła, śpiąc jak zabita. Obie w milczeniu wróciły do swoich zajęć.

Ciszę pokoju przerwała Irka, niosąc triumfalnie kupione kartofle, wpadła ze śpiewem, lecz na surowe spojrzenie Wandy zmilkła i tylko na migi pokazała Łąckiej, by je obrała, sama zaś znowu wybiegła na miasto.

Szarzało już, gdy Olesię obudził stuk rzuconego drzewa, — to Irka przyniosła kilkanaście polan.

— Dziewczyno — skąd tyle? — wykrzyknęła Olesia.

— A widzisz? — wy tak nie potraficie, dostałam ze „skarbca" i zabrałam za „Pustowojtównę". Łącka jest u nas, a Mańka - Balonik siedzi całe dnie u kierownicy, więc wygrzeje się tam, może spać w zimnem!

— A jak poskarży się na nas?

— To pozwolimy jej zabrać popiół. Wstawaj Oleśka i bierz się za gotowanie, wszystko przygotowane, czeka tylko twoich rączek, ja palę w piecu. Wstawaj litwineczko!

Ogień za chwilę huczał i Irka zadowolona wołała:

— Stanowczo jestem stworzona na palacza, powiedzcie, gdzie kto w jedną minutę rozpali piec mokrem drzewem?

— Irka Wirska, która chce mieć powodzenie u chłopców — zaśmiała się Wanda.

— Źle powiedziałaś — Irka Wirska, która ma powodzenie u chłopców, przecież Irci wystarczy tylko spojrzeć, a już chłopak trup! — żartowała Olesia.

— Obieście źle powiedziały: Irka Wirska, która chce koniecznie i jaknajprędzej wyjść zamąż, bo poprostu stworzona na żonę, matkę i gospodynię na swojem — poprawiła Łącka. Irka podskoczyła do niej i zakręciła w koło siebie.

— Zuch Łącka! — masz rację — „ne choczu uczytsa, a żenitsa". Wpakowali mnie na te idjotyczne, maturalne kursa, a ja szczerze chciałam gospodarczej szkoły, tam napewno czegośbym się nauczyła. A tu? Siłą rzeczy, muszę sypać oko do profesorów, żeby mi złych stopni nie stawiali.

— A nie chcąc krzywdzić kolegów — no to i do nich... — drwiła Wanda.

— Więc czemuś nie poszła do gospodarczej szkoły? — przerwała Łącka.

— Widzisz — nie każdy ma taką cywilną odwagę jak ty — uparłaś się, że rzucisz gimnazjum i wstąpisz na akuszerję i nie pomogły niczyje groźby — postawiłaś na swojem, a za kilka miesięcy będziesz miała własny chleb. Ja jestem ślamazara, zająknęłam się o gospodarczej szkole, to powiedzieli, że w Karolinkach za niski poziom na moje siedem klas, a do Pniew nie mogą mnie wysłać. O innych szkołach nikt nie wspomniał, więc i ja milczałam i tak obijam bruk niby to szykując się do matury, a przed wami mogę szczerze powiedzieć: — chcę mieć dom, dużo dzieci i własnego męża. I niech mi się tylko nawinie jaki porządny chłopak, to sama się jemu oświadczę i zaprowadzę do ołtarza. Postaram się wtedy już nie być ślamazarą!

— Możesz to choć dziś zrobić. Korejwa za tobą się ogląda — rzuciła Wanda.

— Korejwa?... Nie? — być nie może?...

— Ależ tak! Sama widziałam — przytaknęła Łącka.

— Korejwa? Jutro rzucam kursa i oświadczam się!

— Korejwie? — ależ to szkarada! Będzie mógł nosić ciebie zamiast szpilki do krawata — to ci para?... Przytem w sam raz strach na wróble z jego czupryną. On pewno ma kołtun!

— Korejwa brzydki? — Korejwa ma kołtun? — Olka, czy chcesz, żebym cię zaboksowała? Za cherubinka chciałabyś mnie wydać? — żeby potem inne go bałamuciły? — dziękuję! Ja chcę męża dla siebie.

— Korejwa podobno bogaty — mruknęła Wanda.

— Mówisz podobno, to znaczy nie wiesz napewno i ja gwiżdżę na jego bogactwo. Wiecie dlaczego? Korejwa mnie się podoba! On jeden jedyny nie powiedział nigdy w mojej obecności nic słonego, czy dwuznacznego.

— Przecież ty po odpowiedź do kieszeni nie sięgasz!

— Nie sięgam, ale nie znoszę tego! Mnie takie powiedzonka poprostu bolą jak uderzenia, jak smagnięcia! Zrozumcie...

— Niewiniątko... — zaśmiały się Wanda z Olesią.

— Rozumiem! — nachyliła się nad rozgorączkowaną dziewczyną Łącka — rozumiem to tem lepiej, że mnie samą to ciągle spotyka. Ludzie myślą, że akuszerka to wie wszystko, więc można dowcipkować na ten temat, a mnie te dowcipy bolą, bo to tak, jakby chirurg do najpoważniejszej operacji wkładał zamiast gumowych, gospodarskie, wełniane rękawice.

— Dobrze porównaliście koleżanko, bo nie rozumiem, jak można żartować z tego, co już w samem założeniu jest Tabu, — przemówiła średniego wzrostu, jasnowłosa dziewczyna. Tylko Olesia spostrzegła jej wejście i uśmiechnięta podsunęła stołek.

— Dziękuję, koleżanko — zwróciła się do Olesi, — wpadłam tylko na chwilę powiedzieć wam, że Felunia „Peowiaczka" już w tym tygodniu wychodzi ze szpitala, a Milka rzeczywiście ma tyfus, dobrze rozpoznaliście koleżanko Alu.

Łącka poczerwieniała.

— Ależ koleżanko Helu, to wyście rozpoznały chorobę, cóż mogą znaczyć moje przypuszczenia?

— Nie udawajcie niewiniątka — zaprzeczyła Hela — djagnoza była dobra i to wasza zasługa. Dobrze nam będzie pracować razem, prawda Aluś? — przemówiła serdecznie.

— Ach koleżanko! — tylko czekam tej chwili, tylko Bóg wie, gdzie nas los rzuci?

— To przecież już postanowione, my wieśniaczki wrócimy na wieś, lub osiądziemy w małem miasteczku. Ty kończysz w tym roku, więc pojedziesz przygotować grunt dla mnie, a za rok przyjadę i będziemy pracowały, Bogu na chwałę, ludziom na pociechę, — zażartowała.

— Ach Heluś, jak nam dobrze będzie razem — i Łącka gorąco objęła szyję koleżanki.

— Sądzę! Hela odwzajemniła uścisk. Kobiet lekarzy nie lubią, więc, gdy dla mnie przygotujesz grunt, będę twoją dłużniczką i postaram wstydu ci nie zrobić — uśmiechnęła się znowu.

— Ależ co znowu! — Heluś! — pomódlmy się jutro w Ostrej Bramie na tę intencję?

— Dobrze, tylko wyjdźmy wcześniej, żeby nie iść na to „urzędowe" nabożeństwo.

— Ach, prawda! — jutro niedziela — wykrzyknęła Irka. Kto ze mną zwiewa od „urzędówki"?

— A do jakiego kościoła pójdziesz? — spytała Olesia.

— Do świętego Kazimierza, na dziesiątą.

— Iii... żołnierska msza! Mam zamiar jutro modlić się nie sypać oko. Ja idę do Bonifratrów po wodę.

— Kto u ciebie chory?

— Dziaduś, — wezmę wodę i poślę do Pawcenisa, ten znajdzie okazję na Litwę.

— Oczy go bolą? — spytała Hela.

— Nie, — kula wędruje w boku i nie może wyjść!

— Operować!

— Kiedy nie chce!

— Na upór niema lekarstwa, poślij więc choć wodę, może Matka Boska Bonifraterska, choć ulży w cierpieniu, jeśli nie uleczy.

— On też tak mówi i dlatego prosił o wodę.

— Dużo już komu pomogła — przyznała Irka.

— Przecież mnie na oczy! — wtrąciła przybyła w czasie rozmowy, w ciemnych okularach internatka — może byłabym już ślepa, żeby nie Olka, przyniosła flaszeczkę i pilnowała, żebym robiła okłady. Ale gdzie Olka?

— Ach, tu! — Co tam pitrasisz rodaczko?

— Kartofle Wiktuś! — brzmiała triumfalna odpowiedź.

— Kartofle? — przywiozłaś z Litwy?

— Tak — żartowała Olesia.

— Ratujcie anieli! — jak ta dziewczyna kłamie. Toć piec pęknie i nie zdążysz ugotować. Kartofle są kupione w Wilnie, w halach pod ratuszem, za jedną dwudziestą honorarjum wypłaconego mi dziś przez mistrza Dratewkę.

— Urządzacie wspólny bal? — może i ja się do was wkupię?

— A co masz? — odwróciła zaczerwienioną twarz od pieca Olesia.

— Pewno jeszcze ze szklankę mąki.

— Wiwat! — dawaj, zupa będzie gęstsza.

Hela powstała, lecz koleżanki usadziły ją spowrotem siłą.

— Koleżanko! — „Konopnicka" dziś wyprawia bal i goście mile widziani — zostańcie z nami. To nic żeście doktór, nie zadzierajcie nosa! — prosiły dziewczęta.

— Ależ ja nie mam czem się wkupić do was — broniła się Hela — ja jadłam dziś obiad, a wy nie wszystkie. Grzech was objadać!

— My wam damy rozgrzeszenie! A co się dzieje z waszemi obiadami w klinice, opowie najlepiej „Peowiaczka" jak wróci.

— Zostańcie — prosiła Olesia — i tak gotuję więcej, bo chciałam, żeby Łącka was poprosiła i zawołać rodaczkę, — mój Wiktuś to zuch! Noska nie zadziera choć też za rok swoją przyrodę kończy, — pociągnęła studentkę za trochę zadługi nos.

— Oleśka! — zostaw nos w spokoju, bo więcej nie przyjdę! — groziła Wikta.

— Nie przychodź — to ci nie powiem, jak Litwa wygląda!

— Byłaś może w Kownie?...

— Byłam!

— I tatka widziałaś? — radość i niepokój brzmiały w tem pytaniu.

— Widziałam...

— Co mówił?

— Aha? — idź po mąkę to coś dostaniesz!

— Oleśka?...

— Aleksandra Kulwicka — do usług...

Wikta pobiegła pędem przez korytarz.

— Masz mąkę — mówiła za chwilę zadyszana. Olka nie męcz mnie dłużej — co jest?

— Sięgnij pod poduszkę.

— List?... Jaki gruby! Oleśka... daj pyska — całowała promieniejącą dziewczynę, toć wiem, że i w Dangieliszkach nie przelewa się, żebyś sama jechała do Kowna, toć koszta!

— Usiądź na łóżku i czytaj! — teraz gutuję — potem będziemy gadać.

Wikta zastosowała się do propozycji brzmiącej jak rozkaz. Z koperty wypadły pieniądze, leżały jednak nie poruszone na kolanach, — dziewczyna chłonęła pismo.

Kartofle już były ugotowane i Olesia zagniatała zacierki, gdy do drzwi zapukano. Garnek z parującemi kartoflami znikł pod łóżkiem, miska z zacierką pod stołem, piec zamknięto i dopiero na powtórne pukanie odpowiedziano — proszę! — i zaraz wszystkie wybuchły, a najgłośniej gniewała się Olesia.

— Rudzka — oślica! Tyle razy mówiłyśmy, że „swoi" wchodzą bez pukania. Wystraszyłaś nas tylko, omal, że rąk nie poparzyłam.

Przybyła, mocna brunetka, o typie japonki, zaczęła się tłumaczyć:

— Zobaczyłam na drzwiach nową kartkę i charakter Wandy, więc myślałam... Przyszłam tylko pomóc Wandzi w kreśleniu, bo rysunki na jutro potrzebne i powiedzieć wam, że kierowniczka ze „swoimi" poszła do teatru.

— Wiwat! — wszystkie poszły?

— Nie — zostały „Kowale" i „Wiewiórka".

— Wiewióreczka nie poszła? — cóż tej się stało?

— Płacze czegoś — nie wiem!

— Może chora? — spytała Łącka.

— Eh! — ty wszędzie widzisz chorych, poprostu kaprysi i już!

— Zobaczę co jej jest — zaofiarowała się Hela.

— I nie przyjdziecie...

— To ją wam tu przyślę!

— Ją? — za nic! — takich nie potrzebujemy.

— Dziewczynki?

— Jak ona śmiała robić z „Konopnickiej" złodziei?

— Ależ wtedy rewizję i u nas robili — kierowniczka była z nią!

— Ale wy byłyście w domu, a w „Konopnickiej" drzwi były na klucz zamknięte.

— Wiewióreczka była taka zmartwiona, bo to był cudzy zegarek.

— Tak! — i okazało się, że sama w kuchni zostawiła — a potem posądzać „Konopnicką" — to horendum!

— A posądzać „Skłodowską" można? — obraziła się Hela.

— Nie koleżanko! — one nas wszystkie obraziły — i my tego nigdy nie przebaczymy!

— Przebaczycie, gdy zrozumiecie, że internat jest internatem i już się stało, czas o tem zapomnieć.

— I może przeprosić „Wiewióreczkę"?

— Nie przeprosić, tylko przestać dokuczać, jak to wy umiecie. Pójdę do niej, bo napewno coś zaszło, a na dowód, że się nie mylę, przyjdę powiedzieć co się stało.

— Przez ten czas wszystko będzie gotowe, więc pamiętajcie, że czekamy na was!

— Dobrze.

Hela znikła za drzwiami, a Wanda zaczęła znosić kubki i łyżki, gości usadowiono na łóżkach, tylko Rudzka nie odrywała się od rysunku. Olesia smażyła słoninę, gdy weszła jeszcze jedna, może dwunastoletnia internatka z warkoczami puszczonemi luźno, a sięgającemi kolan.

— Poczułam słoninkę na korytarzu i tak mi się dziwnie zrobiło... Iruś to twoje?... Nie będziesz się gniewać?

— A ty skąd się wzięłaś? — nie poszłaś z kierowniczką do teatru?

— Nie — lekcji mam dużo! Póki Irka była w naszym pokoju, to było lżej, ale teraz strasznie ciężko.

— Czemu nie powiesz kierowniczce?

— Mówiłam — kazała „Balonikowi" zająć się mną, ale „Balonik" nie zawsze ma czas.

— Cóż ona robi?

— Mówi, że jest zajęta — i nie pytam co robi!

— Siadaj Anielko — zjesz z nami kolację.

— To ta kolacja nie Irki?

— Wspólna „Konopnickiej" — nie tak jak w „Orzeszkowej", gdzie każda dla siebie tylko robiła.

— To ja bardzo przepraszam, że wlazłam, ale tak mi się jeść zachciało...

— Głodomorku kochany — Irka wzięła w ręce ciężkie warkocze dziewczynki, — gdzie jest Irka, możesz zawsze śmiało przychodzić. Któż ci teraz włosy zaplata?

— Ja sama!

— To widać... wszędzie „drogi" wiszą, że nawet uczesać się porządnie nie umiesz, daj to ci poprawię.

— Obciąć włosy — poradziła Wanda.

— Mamusia nie pozwala!

— To czemuż ta twoja mamusia nie zostawiła cię w domu, żeby czesać sama?

— Bo tatuś nie chciał!

— Przecież twój tatuś nie żyje?

— Tak, ale ten drugi.

— Przecież on ma taki duży sklep?

— Ale on mówi, że trzeba wykorzystywać wszystko co się daje.

Słonina była gotowa, do dużego garnka, ściągniętego zawczasu z kuchni, zlano zacierki i kartoflankę, tylko kilka suchych kartofli zostawiła Olesia na talerzyku i kładąc kawałek masła wstawiła do pieca. Krasiła zupę, gdy weszła Hela obejmując młodziutką, rudowłosą dziewczynkę.

— Koleżanki — zwróciła się do zebranych — Wiewióreczka was bardzo przeprasza, a na dowód, że żałuje swego postępku, pozwoliła powiedzieć czego płakała: — otóż kierowniczka dowiedziała się, że Leskier nigdy nie był baronem...

— A ja powiem nawet górą Kowno, jeśli mi dasz jeszcze dolewkę Oleńko — poprosiła Wanda.

— Owszem, — proszę, — tylko powiedz nie górą Kowno, ale, niech odżyje Unja!

— Niech żyje Lublin i Horodło!

— Widzisz jaki z ciebie zuch! Nie darmo ci zostawiłam kilka skwarków.

— Olka! — bo się rozgniewam za to wyróżnianie.

— Gniewaj się, a wy koleżanki sądźcie, czy słusznie wyróżniam Orlątko, czy nie?

— Słusznie! — odpowiedziały jednogłośnie starsze, tylko mała Anielka zapytała cichutko — Irko! czemu Wandę wszyscy lubią?

— Bo to nietylko kochana dziewczyna, ale i bohaterka, widziałaś ten krzyżyk, co przypina sobie do sukienki? — to Krzyż Walecznych, taki tylko żołnierze dostają — i Wanda go ma za obronę Lwowa.

— I Felunia „Peowiaczka" też ma, a za co ona?

— Dopiero teraz?... Ot masz kochanie i starszych nie warto okłamywać! Dla internatek już twoja korona dawno popłynęła Wilją do Niemna jak wianeczek świętojański. Może ci tam jakiś Litwin złapie ją kiedyś, pociesz się nadzieją. Litwini Warszawianki lubią! Dowód na Wirskiej. Inaczej i Mickiewicz nie miałby tematu do Budrysów. Nie martw się Wiewióreczko, powiedz teraz kierownicy, że ci się pomyliło, że to matka była z domu baronówna, czy hrabianka... to znowu do łask powrócisz!

— Masz! — zamknij swoją cudowną gębusię — przerwała Olesia podając Wandzi kartofle z masłem.

— Oleśka! — to dla mnie?

— Dla ciebie.

— Ale dlaczego?

— Bo tak trzeba.

— Ciekawe twierdzenie.

— Jedz, bo wystygną.

— Twierdzenie, czy kartofle?

— Wanda?

Dziewczęta zaczęły się śmiać.

— Jedz Wandziu, to wykup od twego lwowskiego języczka i Olka się już go boi!

— Boi się? — już z samej radości, że mnie ktoś boi się — zjem.

— Cieszę się, że wiem nareszcie czem cię mogę ująć — odpowiedziała Olesia nalewając smakowicie pachnącą zupę w podawane naczynia. Starczyło dla wszystkich, nawet na dolewki zostało, wprawiło to Irkę w doskonały humor, więc wykrzyknęła:

— Nie! — jak sobie chcecie, wszystkie dzielnice mają swoje zalety, z których przechwalają się jedna przed drugą, ale tak gospodarzyć jak Litwinki, żeby trzema kilogramami kartofli nakarmić dziewięć osób, to ile nas tu jest, żadna warszawianka, poznanianka, lwowianka, czy tam inna -anka, napewno nie potrafi.

— Górą Wilno! — odkrzyknęły chórem.

— Przywiozła przez front, pod kulami bardzo ważne papiery z Mińska od bolszewików i dlatego ją odznaczyli także.

— A ja myślałam, że to broszki!... — To i Felunia i Wanda — bohaterki?

— I Felunia i Wanda, a Wandzia jeszcze taka dobra i taka nieszczęśliwa, nikt z jej rodziny nie żyje, a ona sama chora, więc dla niej wszyscy muszą być dobrzy.

— Dobrze Irko! — zgodziła się posłusznie dziewczynka.

— Słuchaj skrzacie — odezwała się z drugiego końca pokoju Wanda — jak nie możesz czego zrozumieć, a ja będę w domu, to przychodź śmiało — pomogę!

— Dziękuję Wandziu.

Kolacja dobiegła końca; zupy nic nie zostało, z bochna Pawcenisa, niewiele, ale humory poprawiły się, zaczęły się głośne rojenia o przyszłości i posypały się żarty. Spłoszył je powrót kierowniczki z teatru ze „swoimi".

— — — — — — — —

Dla Olesi po powrocie do internatu zaczęły się ciężkie czasy. Odzwyczajona przez trzytygodniowy pobyt w domu od złych stron życia koszarowego, mimo ogromnej przyjaźni, jaka łączyła nieszkanki „Konopnickiej", męczył ją ciągły świergot dziewcząt i z utęsknieniem wyczekiwała wiosny, żeby móc uciec do „Bernardynki", czy na górę Trzykrzyską. Niestety zima jeszcze była w całej pełni, i tylko, gdy nerwy były już zupełnie wyczerpane, szła do czytelni imienia T. Zana i tam całem swojem jestestwem chłonęła ciszę tego przybytku.

W nocy męczył ją kaszel Wandy, który przy końcu zimy stawał się coraz cięższy i coraz uporczywy. „Orlątko" po takiem paroksyźmie leżało bledziutkie, podobne do trupka, gdyż dziewczęta wszystkie mizerniały w zastraszający sposób. Wanda w opisie krupniku, którym kar-

miono dziewczęta, nietylko nie przesadziła, lecz nie dopowiedziała wszystkiego. Kasza jęczmienna, na ten cel używana, była tak obydnie brudna, że dziewczęta zatruwały się poprostu. Głód jednak był silniejszy od obrzydzenia i za przykładem „czarnej Helki", ze szkoły powszechnej, zamykały oczy i nadrobiwszy chleba do miski, zjadały wszystko, bo więcej nie miały nic!

Zapasy wyczerpały się, zasiłki pieniężne szły na szewca, zeszyty, pończochy i inne drobiazgi, bez których życie uczenic jest nie do pomyślenia. Niestety pieniędzy tych było tak maluczko i wpływały tak nieregularnie, że nigdy nie można było liczyć na nie napewno. Raz wraz słyszano więc, o jakimś wypadku: to Rudzka dostała konwulsji, to Łącka zemdlała na ulicy, wywieziono do szpitala „Wiewióreczkę", a nad karkiem wszystkich prawie wisiał miecz Damoklesa w postaci egzaminów, określanych jednem, utartem słowem „Matura".

Przy końcu stycznia, prawie wszystkie stały się „kowalami", dziewczęta wpadły w szał uczenia się, popędzane myślą: skończyć! Złożyć egzamina i pożegnać się z internatem. Najmniejsza przeszkoda przyprowadzała dziewczęta do wściekłości, tak, że już i kierowniczka wolała je zostawiać w spokoju.

Gromem więc z jasnego nieba uderzyła w internatki wiadomość, podana przez sekretarkę zarządu, w czasie kolacji, że jutro w południe będzie wizyta jednego z główniejszych protektorów internatu. I dziewczęta proszone są nietylko o zachowanie porządku, lecz i przyozdobienie pokoików! Gdyż wizyta ta może zadecydować o dalszem istnieniu internatu, bo dziewczęta są już dorosłe... Lokal kosztuje... Opał i światło także... A choć internatki narzekają na jedzenie, to jednak jeszcze codzień mają chleb i tę miskę zupy...

Dalszych wywodów nie słuchały. Z wściekłością w sercu po jednej wymykały się z jadalni.

— Figura przyjeżdża!... — klęły półgłosem — syty! Decydować będzie o rozpędzeniu nas na cztery wiatry. Może przed maturą jeszcze?... Co dla takiego znaczy te trzydzieści dziewcząt? Przystroić pokoiki, to jutro znowu szkoła „pękła"! Trzeba będzie czyścić i szorować, a czem przystroić? Te ostatnie groszaki trzeba wydać na bibułkę do firanek i abażury! Znienawidziły nieznanego jeszcze wizytatora serdecznie. Spać poszły z uczuciem zaszczutych zwierząt.

Rano równo ze świtem sądny dzień rozpoczął się dla internatu. Walczono o szczotkę do szorowania, o ścierki, o kubły do wody. Zdolniejsze rysowały firanki, inne je wycinały, tak, że nie spostrzegły się jak minęła jedenasta. Wpół do dwunastej pani kierowniczka zrobiła przegląd pokoików i znalazła wszystko zadawalającem.

Istotnie, mimo wielkiej niechęci do mającej przybyć „Figury", w dziewczętach wzięła górę kobieca cecha miłości do gniazda i wspólnemi siłami stworzyły to, że każdy pokój wyglądał inaczej. Dobrano estetyczne, jednakowe nakrycia łóżek, dla każdego pokoju innej barwy. Zatroszczyły się o zharmonizowanie odcieni firanek i abażurów, a ponieważ skwapliwie skorzystały z pozwolenia wcześniejszego napalenia w piecach, całość sprawiała zupełnie dobre wrażenie.

Przybrane odświętnie, skierowały się do jadalni na obiad i tu przestały już wierzyć własnym oczom.

Długi stół, zazwyczaj nie grzeszący czystością, dziś lśnił białością obrusa, a zamiast glinianych misek i połamanych łyżek, stały fajansowe talerze, a obok leżały noże i widelce. Chleb nakrajany piętrzył się w koszyczkach na końcach stołu, a z kotła dymił smakowity, czerwony barszcz.

Onieśmielone tym „przepychem" zajęły w milczeniu miejsca. Zaczęło się nalewanie zupy, jeszcze nie wierzyły sobie, lecz gdy już przed każdą stanął pełny talerz, nie mogły pohamować swej wesołości:

— A to ci dopiero figura... fiu!... fiu!...

— Wanda uszczypnij mnie, ja śnię!...

— Musi być gruba ryba...

— Och, pozwalam mu codzień nas odwiedzać, jeśli jego przybycie związane jest z najprawdziwszym barszczem.

— Słuchaj koleżanko! — umiesz jeszcze jeść na talerzu?

— Na talerzu to potrafię, gorzej z nożem i widelcem, poco ludzie to wymyślili?

— Żeby zarząd miał co na stole położyć jak będzie wizyta.

— Ale kto właściwie dziś będzie?

— Ksiądz biskup Bandurski...

— Bujaj! — dla niego nie robiliby takich ceregieli.

— Rodziewiczówna?

— Może! — ale ona wie, że dziewczęta o tej godzinie w szkole.

— Więc kto?

— Jakaś komisja amerykańska?

— Może ktoś z Warszawy?

— Albo z Honolulu? — padł żart.

— W każdym razie daj mu Boże zdrowie za smaczny barszcz.

— Ktoby to nie był, podziękujemy za...

Na korytarzu zadźwięczały ostrogi, słychać było krótkie certowanie się przy drzwiach, aż się otwarły i wszedł — Józef Piłsudski.

Za nim z rozwianym, siwym włosem i jak zwykle uśmiechniętą twarzą ksiądz biskup Bandurski i generał Grypsza, wpuszczając przed sobą główną opiekunkę internatu.

Dziewczęta powstały.

— Dzień dobry panienki! — siadajcie. Marszałek skinął ręką, — dobrze trafiłem? Na obiad! smakowicie tu u was pachnie, — zażartował, wesołem spojrzeniem ogarniając gromadkę. — Kierowniczka na te słowa rozpłynęła się:

— Tak panie Marszałku, zarząd stara się w miarę możności, dziś właśnie mamy barszczyk, — zaczerpnęła warząchwią, pokazując przybyłym jej zawartość, a na drugie mamy kaszę i kotlety, pokazywała podnosząc pokrywę drugiego kotła.

— Bardzo się cieszę! A czy mógłbym z panienkami pomówić sam na sam? Chwileczkę tylko! Tu zaraz! Chcę prosić, byście państwo opuścili pokój — dobrze? Wzrokiem wskazywał drzwi. Wyszli wszyscy, lekko opierającą się kierowniczkę jednem podniesieniem brwi zmusił do pośpiechu.

Gdy drzwi się zamknęły, postąpił krok i ogarniając stropione dziewczęta wzrokiem, nagle, najniespodziewaniej zapytał:

— Powiedzcie dziewczynki, — ale tak szczerze, — zupełnie szczerze — jak ojcu. — Czy wy codzień dostajecie taki obiad? *)

Internatkom zatkało w gardle... Nie rozumiały, czego właściwie chce ten niewysokiego wzrostu, o szpakowatym wąsie wojskowy? Tylu już było wizytujących, pytali czy dziewczęta lubią internat? Czy tęsknią do domów? A najczęściej, czy dobrze się uczą? Ale o obiad?...

Spojrzały raz jeszcze osłupiałym wzrokiem na uśmiechniętego po ojcowsku Marszałka, aż nerwy napięte do ostatnich granic nie wytrzymały i dziewczęta buchnęły płaczem.

Nie płacz to już był, tylko jakaś straszna, beznadziejna skarga na wyrządzoną im przez życie krzywdę, któremu przecież nic nie zawiniły. W tym płaczu zrównały się wszystkie, płakała optymistka Irka i poważna Rudzka, płakała Hela-doktór i dwunastoletnia Anielka i Wikta „rodaczka", i „czarna Helka" z powszechnej, i „kowale", i „ulubienice", i Wanda - Orlątko, i odznaczona za peowiacką działalność Felunia, i Łącka i Olesia. Łkały wszystkie z głowami opartemi na dłoniach lub na stole. Niektóre poruszyły się do ucieczki, a On stał i zagradzając swoją osobą jedyne drzwi — mówił wzruszony:

— Cicho dziewczynki — nie płaczcie! już wiem — nie płaczcie!

Wizyta zakończyła się, a kierowniczka nie mogła wyjść z podziwu, że dziewczęta nie kończąc obiadu powróciły do swoich pokoi ciche i zapłakane.

Minęło kilka dni, internat wrócił do dawnego życia, dziewczęta pracowały, epizod z obiadem nawet osobno w pokojach nie był komentowany, nietylko dlatego, że sprawy ważniejsze i więcej aktualne zajęły umysły, lecz i dlatego, że dziewczęta mimowoli nie chciały tego poruszać, jakby wstydząc się jedna przed drugą swego wybuchu.

Wróciły gliniane miski i jęczmienny krupniczek, obiad opróżniał się i pewnego dnia dziewczęta zirytowane wymyślały głośno i stukały łyżkami, gdy drzwi otworzyły się i tym razem już tylko dwóch wojskowych stanęło w jadalni: — Marszałek i Generał.

Zapanowała straszna konsternacja. Kierowniczka zmieniła się w słup soli, internatki zaś do tego stopnia zapomniały języka, że tylko machinalnie odpowiedziały na powitanie.

Dziś jednak widocznie nie dziewczęta specjalnie interesowały Wizytującego, zbliżył się do jedynego kotła, — zamieszał warząchwią i spojrzał na osłupiałą kierowniczkę.

— Czy mogę prosić o zebranie dziś zarządu na godzinę czwartą?

— Zarząd zwykle zbiera się o godzinie ósmej — wyjąkała zagadnięta.

— Ja proszę dzisiaj na czwartą!

— Dobrze Panie Marszałku!

Odwrócił się do dziewcząt, które przychodząc do siebie dusiły się ze śmiechu, oczy mu błysnęły życzliwie, a mocno szpakowate wąsy drgnęły.

— Do widzenia dziewczynki! — wyrzekł podnosząc rękę do daszka. Teraz zauważyły, że nawet nie zdjął czapki wchodząc. Widocznie śpieszył się bardzo.

We wszystkich pokojach wrzało! Dzisiejszy wypadek był bezsprzecznie największem zdarzeniem dnia od początków istnienia internatu. Widocznie było jakieś wyjscie z ich niedoli, jeśli On zażądał nadzwyczajnego zebrania zarządu, widocznie coś, gdzieś musiało źle od początku funkcjonować, jeśli te niedomagania starano się ukryć. W „Konopnickiej" zebrały się wszystkie „swoje" oczekując z największą niecierpliwością Irki wysłanej na zwiady. Wróciła późno i wpadła jak bomba, zadyszana do niemożliwości. Podsunęły jej krzesło i otoczyły kołem.

— I co?

— Co, będzie? — zabiorą kierownicę? — padały gorączkowe pytania.

— Uf! dajcie odsapnąć — prosiła Irka — tak biegłam, że ludzie oglądali się na ulicy — zmęczyłam się jak nieboskie stworzenie. Będą obiady z żołnierskiej kuchni! Każda z nas dostanie taką dzienną porcję, jakby tatuś to otrzymywał. Felunia „Peowiaczka" i Wanda „Orlątko" dostaną pensję do końca życia, to już

*) Autentyczne, 1922 rok.

zasługa kierownicy, bo ona o tem pierwsza wspomniała. Prócz tego Wanda pojedzie do Zakopanego. Prócz tego na nasz internat spłynie deszcz stypendjów, bo tego zażądał Pan Marszałek. Prócz tego dostałyśmy cały worek puszek słodkiego, skondensowanego mleka zamiast cukierków, — kierownica nam to dziś przy kolacja rozda. Prócz tego kierownica jest nie taka zła, bo jej jeszcze wymyślał zarząd, że za drogo kosztujemy. Prócz tego kolej nam dostarczy opału. Prósz tego puszczam kantem maturalne kursa i wstępuję na tkactwo do Mohlówny. Prócz tego wychodzę zamąż za Witolda Korejwę. Już postanowione!

— Kiedy?...

— U Zana — jak mi przyniósł te wszystkie wiadomości...

W dalszym gwarze nie można już było nic rozróżnić — radość ożywiła zagasłe oczy, zabarwiła blade twarzyczki i niestety... rozwiązała języki.

— — — — — — — —

Do filara na chórze kościoła świętej Teresy tuliła się szkolna okulistka dr Aleksandra Kulwicka. Była w Dangieliszkach na pogrzebie dziadka, gdy doszła ją wieść o żałobie Polski, natychmiast więc starą, uczniowską drogą pośpieszyła do Wilna, by zobaczyć urnę, w której spoczęło Serce. Dziś jednak sceny żałobnego obrzędu pozostawały tylko na siatkówce, nie dostając się wgłąb świadomości. W duszy swej widziała jak żywy, życzliwy, ojcowski uśmiech, lecz zamiast wypowiedzianego wtedy pytania, w uszach jej dzwoniły, gdzieś słyszane słowa:

...nie tylko całą Polskę duchem ogarnął — w swojem sercu napewno pragnął ją i z Litwą zjednoczyć, bo tak zrósł się z tą ziemią i z nami, że to serce już na zawsze naszem zostanie...

KONIEC.

DZIEWIETNASTY MARZEC

„Niepodległości Polski, nikt nam nie podaruje i nikt za nas nie wywalczy. O nasze cele, zarówno polityczne jak i społeczne, sami walczyć musimy. I to nie na języki, nie zapomocą bibuły drukowanej, lecz z bronią w ręku. Musimy przeciwstawić zorganizowanej sile najazdu opierającego się na bagnetach, siłę zbrojną mas ludu polskiego".

Słowa te napisał w niewielkiej broszurze wydanej w Krakowie, Z. Mieczysławski. Pod tym pseudonimem ukrywał się Józef Piłsudski.

W słowach tych mieścił się program czynu, mieściła się zapowiedź walki o niepodległość. Marzenie o wolności świtało w głowach najszlachetniejszych, przez całe stulecie niewoli. W swym arcypięknym poemacie: „Sen o szpadzie" opisał nam Stefan Żeromski tych marzycieli.

„Wyszedłeś, pisze Żeromski, w najciemniejszą noc, gdy huczał wicher i bił deszcz, a my wszyscy, dwudziestomiljonowy naród, spaliśmy w naszych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach, i norach podziemnych, snem niewolników. W lewej ręce dźwigałeś żerdź, którą w ciemności szukałeś obieszczyka strzegącego granic ziemi, w prawej miałeś rewolwer, gotowy do strzału. Tak przebywałeś graniczne rzeki. Szedłeś w kraj boso i krwawiąc nogi...

Przez sto lat przeszło, zjawiały się szlachetne postacie śniące „sen o szpadzie". Ale zawsze po Racławicach, następowały Maciejowice. Po krótkich dniach chwały, długie noce klęski. Po wzlocie nadziei, stoczenie się w otchłań rozpaczy i upokorzenia.

Życiu bohaterów wolności opromienionych sławą i aureolą poświęcenia — Tadeusza Kościuszki, Henryka Dąbrowskiego, Piotra Wysockiego, Romualda Traugutta nie towarzyszyło niestety zwycięstwo. Cztery pokolenia polskie, żyły w mrokach niewoli, każde wyłaniało z siebie świetlaną postać, ale żadne nie rozkuło kajdan.

Dopiero gdy „sen o szpadzie" wyśnił Ziuk z Żułowa, dopiero gdy hasło czynu zbrojnego rzucił Józef Piłsudski, wolność stała się udziałem polaków, ziściło się to, o co napróżno walczyli kosynierzy Kościuszki, szwoleżerzy Kozietulskiego, podchorążowie Wysockiego, powstańcy Traugutta.

Ideę niepodległości Józef Piłsudski podjął wśród tragicznych wprost warunków. Rozpleniły się w Polsce prądy wrogie poczynaniom zbrojnym. Przygniatająca część społeczeństwa, odżegnuje się jak od ognia, od samej nawet myśli orężnego czynu. Z jednej ugodowość, z drugiej internacjonalizm. Z jednej wiara w „Reichsraty" i Dumy, wiara w konszachty dyplomatyczne, uganianie się za „autonomją z łaski cesarza". Z drugiej, wiara w rewolucję światową, w Internacjonał braterstwa polskiego i rosyjskiego robotnika, a więc potępianie tych śmiałków, którzy marzyć śmią o regularnej armji narodowej.

I w tych warunkach, wśród tego ponurego tła, wychyla się postać Józefa Piłsudskiego, który, jak to opisuje wizja Żeromskiego, wyszedł w najciemniejszą noc, gdy miljony polaków spały w swych sypialniach snem niewolników.

Ty nie dla sławy wyszedłeś, brzmią dalsze słowa twórcy „Snu o szpadzie". Posłałeś siebie sam, ażeby świat wbrew woli świata, wydrzeć z pod skinień berła nocy. Twoje zadanie to niweczyć przemoc, z pod męki ciał wydobyć ducha ludzkiego, osadzić wśród ludzi miłość i prawo do szczęścia.

To posłannictwo spełnił Józef Piłsudski. Tę misję ziścił wywalczeniem wolnej Polski. Dał ludziom zniepraw̨ionym stuletnią niewolą, prawo do wolności, prawo do szczęścia.

I dlatego w dziejach Polski, po wieki, będzie symbolem

Czynu i Zwycięstwa.

Z dzieł historycznych i współczesnych o Marszałku.

Oksza.

* *
*

A nie dlatego mienimy Cię Wielkim

Żeś walczył, żeś zwyciężał, żeś hardo panował,

Nie za to nawet, żeś nam Ojczyznę darował,

Lecz za to, żeś w tę Polskę od dzieciństwa wierzył,

Żeś tę wiarę tchnął w serca! Jak Mojżesz uderzył

W skałę, ażeby źródło biło na pustyni.

Bo tylko Prorok czytać mógł w mrocznej przyszłości,

Wiedzieć, że dojdzie, że wzniesie, że stworzy!

Dlatego gdyś strudzone ciało poszedł złożyć

Na spoczynek, Relikwją są nam Twoje Kości.

A. D.

ŚWIĘTY JÓZEF

W dniu 19 marca, Kościół obchodzi święto Oblubieńca Najświętszej Panny Maryi, Opiekuna Dziecięctwa Jezusowego i zarazem swego Patrona.

Bóg w Swej mądrości, wszystko czyni z określonym celem, są specjalne misje wielkie i święte, które nadaje ludziom wybranym, aby uczestniczyli w Jego Boskich planach i wtedy od zarania ich dni, obdarza ich wyjątkową łaską, namaszcza chryzmem powołania. Taką duszą wybraną, namaszczoną, szczodrze obdarowaną w najpiękniejsze cnoty, była dusza ubogiego cieśli z Nazaretu, Świętego Józefa.

Najcichszy, najpokorniejszy, najgłębszy z ludzi, Św. Józef był przeznaczony na małżonka Maryi, Matki Chrystusowej i na domniemanego Ojca, Boskiego Syna. Tę godność, przewyższającą wszelką chwałę Świętych, nadał Mu Bóg, tworząc plan wcielenia słowa bożego, dla odkupienia ludzkości. Był on potomkiem króla Dawida, z którego rodu miał pochodzić Mesjasz, nadzieja Izraela i Zbawiciel świata.

W warsztacie skromnego rzemieślnika niktby się nie dopatrzył dawnej rodowej świetności, ale to otoczenie ubóstwa i pracy, najbardziej dogadzało Temu, który krwią i poniżeniem przyszedł odkupić zatraconych. Ewangelista Św. Mateusz zowie Św. Józefa mężem „sprawiedliwym", co według Ojców Kościoła oznacza świętość i doskonałość, — ale blask tej świętości, odpowiednio do Jego stanowiska wyjątkowego, osłonięty był cieniem. Upodobać sobie w nim mogło, tylko oko Boga. Obierając sobie Maryę jako dziewiczą matkę, dał Jej za oblubieńca Św. Józefa, który tak jak Ona, ślubował dziewictwo, małżeństwo ich miało za cel zabezpieczenie wzajemne tego ich ślubu czystości, a zarazem było zasłoną tajemnicy Wcielenia. Pod tą zasłoną, stokroć jeszcze świętszą i cudowniejszą, niż tajemnica ołtarza, spełniły się dwa wielkie cuda Boże: dziewicze Macierzyństwo Maryi i wcielenie Boga - Człowieka. Na niebie Świętej Rodziny, której głową był Św. Józef, zabłysło światu, słońce prawdy wiekuistej.

Stawszy się mężem Maryi, został opiekunem, żywicielem, domniemanym ojcem Jej Boskiego Syna. Od chwili Narodzenia w grocie Bethleemskiej, gdzie pierwszy razem z Maryą, wita i wielbi wcielonego Boga, przez całe dziecięctwo Jezusa Św. Józef nie opuszcza go nigdzie. Jest przy Nim przy pokłonie Magów i przy obrzezaniu, niesie go wraz z Matką do świątyni przy ofiarowaniu i słyszy proroctwo Symeona. Przestrzeżony przez anioła o niebezpieczeństwie, grożącem dziecięciu od Heroda, w nocy, z narażeniem życia, uprowadza Matkę i Dziecię do Egiptu, gdzie żywi swą Rodzinę pracą ciężką na obczyźnie.

Po powrocie do kraju, szuka i odnajduje zagubionego Jezusa w świątyni, a potem uczy Go swego rzemiosła, i rozkazując Mu z tytułu ojca, jednocześnie słucha z namaszczeniem Jego słów Boskich, i coraz doskonali się w obcowaniu z Nim.

Cicho i pogodnie płynęły dnie w Nazarecie, podobnie jak Marya, Józef Św. — wszystko odnosił do Jezusa, do umiłowanego Syna, — On był Jego celem, Jego skarbem, Jego Dobrem najwyższem, poznawanie Jezusa i miłość ku Niemu to było służbą, pokojem, szczęściem i treścią jego życia. Spełniwszy swe zadanie opiekuna, wychowawcy i obrońcy Pana Jezusa, opuścił ziemię; — umierał mając przy sobie Boga i Matkę Jego, a więc najszczęśliwszą śmiercią i dlatego jest patronem dobrej śmierci *).

---

*) Św. Józef, jest także patronem małżeństw i życia wewnętrznego.

W 1870 r. Pius IX ogłosił Go patronem Kościoła powszechnego i poświęcił szczególnej jego czci miesiąc marzec, oraz środę każdego tygodnia. Leon XIII 15 sierpnia 1889 roku, ogłosił piękną encyklikę o Św. Józefie, pełną wzniosłych i głębokich myśli i nadał wiele odpustów różnym nabożeństwom na Jego cześć. Przez to dopełnia i za naszych czasów korona chwały Józefowej. Sprawdzają się słowa, że Bóg „uwielbi tych, którzy Go wielbią" i że „kto strzeże Pana swego, — uczczon będzie" (Przyp. 27, 18). Sprawiedliwego sługę — „postanowił panem domu swego i książęciem wszystkich posiadłości swoich".

E. P.

WARZYWA MAŁO ZNANE

Rozmaryn — jest rośliną trwałą, należącą do rodziny wargowych (labiatae).

Liście rozmarynu wydają charakterystyczny, balsamiczno - kamforowy zapach, b. miły w powonieniu, dzięki czemu używa się je jako przyprawę do potraw mięsnych i rybnych. Gałązki tej rośliny sztywno sterczą do góry, pokryte są gęsto drobnemi liśćmi zielonemi po górnej stronie, od dołu zaś pokryte są szarym kutnerem, czyli drobnemi włoskami.

Kwiaty posiada niebieskie o szarawym odcieniu, nasiona niewielkie, brunatne, kształtu owalnego. Ziemia dla rozmarynu winna być dobrze uprawiona i dawno uprawiana, czyli w starej kulturze, stanowisko tylko słoneczne.

Wysiew rozmarynu przez cały marzec do inspektu umiarkowanego. Po ukazaniu się liścieni i pierwszych listków, pikujemy rozmaryn do inspektów innych w odl. 4 X 4 cm, lub do doniczek sadzonkowych, które następnie dołujemy na inspekcie.

Do chwili zakorzenienia się młodych roślinek, należy inspekty cieniować, a samych roślin nie podlewać, tylko spryskiwać, następnie cieniowanie zupełnie znieść, a zacząć podlewać normalnie.

W połowie, a raczej po 15-tym maja, kiedy niebezpieczeństwo przymrozków minęło, wysadzamy rośliny na miejsce, przeznaczone w grunt w odległości 35 X 40 cm. Rozmaryn jest również rośliną ozdobną i nadaje się świetnie na rabaty do ogródków kwiatowych.

Pielęgnacja rozmarynu po posadzeniu jest b. prosta, bo polega na spulchnianiu ziemi dokoła roślin, szczególnie po deszczu, oraz na tępieniu chwastów.

Sprzęt następuje w sierpniu. Wtedy ścinamy pędy nisko przy ziemi, wiążemy w pęczki, wieszamy na przewiewnym strychu aż do zupełnego wyschnięcia. Pozostałe części podziemne na zimę wykopujemy i dołujemy w piwnicy, poczem na wiosnę wysadzamy znów na grzędy, ale już w większych odległościach, niż poprzednio 40 X 50 cm. Jeżeli chcemy mieć rozmaryn na nasienie, wówczas pozwalamy mu zakwitnąć i dojrzeć. Po oddzieleniu nasion i odczyszczeniu przechowujemy je w płóciennych woreczkach w miejscu przewiewnem i chłodnem. Siłę kiełkowania zachowują nasiona przez 4-y lata. Najlepiej jest wysiewać nasiona dwuletnie.

Ruta ogrodowa. Jest rośliną trwałą. W stanie dzikim spotyka się w Afryce oraz w Płd. Europie.

Liście ruty wydają silny b. nieprzyjemny zapach, zawierają jednak specyficzną goryczkę, która nadaje pikantności, szczególniej sosom. Prócz tego używana jest jako surowiec do wyrobów farmaceutycznych olejku (Oleum Rutae) oraz herbaty (herba Rutae).

Rutę należy używać możliwie rzadko i w małych ilościach, gdyż zawiera ona własności trujące.

Ruta tworzy krzewy silnie rozgałęzione do 80 cm wysokie; liście posiada odwrotnie jajowate, trójdzielne, po brzegach ząbkowane. Kwiaty żółto - zielone, owoc w kształcie torebki o 4 — 5 klapach. Nasiona czarne. Ruta lubi silnie wynawożoną ziemię, lecz nie świeżym nawozem, dlatego pod nią należy dawać nawóz tylko na jesieni. Gleba musi być dobrze i głęboko uprawiona. Wystawa słoneczna. Półcień znosi, jednak w tem stanowisku wymarza w zimie b. często.

Wysiewać w marcu do umiarkowanego inspektu, a nawet można na rozsadniku, jeżeli warunki atmosferyczne są potemu odpowiednie.

W końcu kwietnia i w połowie maja możemy wysadzać młode rośliny do gruntu w odl. 35 X 25 cm.

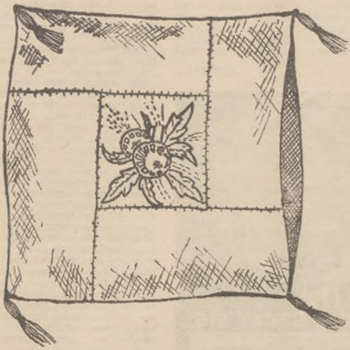
Rutę można rozmnażać przez dzielenie starych okazów. Robić to najlepiej we wrześniu. W ciągu lata ziemię między roślinami płytko wzruszać i niszczyć chwasty, a szczególnie trwałe jak: perz, oset i t. p.

Sprzętu dokonujemy trzykrotnie, zawsze przed kwitnieniem, począwszy od lipca do września. Pędy ścinamy sierpem, suszymy w półcieniu, następnie przechowujemy w pudełkach tekturowych, by olejki eteryczne nie ulatniały się w powietrze.

Ze sto m² można otrzymać do 20 kg suszu. Chcąc mieć rośliny na nasienie, pozwalamy im zakwitnąć, nasionom dojrzeć. Nasiona zachowują siłę kiełkowania przez 2 lata. Nasiona są drobne i względnie lekkie, bo litr ich waży około 1/2 kg.

Irena Rozdębska - Michalska.

PODUSZKA Z AKSAMITU Patrz strona 21



GIMNASTYKA

Lekcja 9-ta.

1. Postawa.

2. Skłon tułowia pod kątem prostym w stosunku do nóg. Ręce bezwładnie opuszczone wdół. Mocne wymachy rąk w lewo i w prawo. (16 razy).

3. Wyprostować się. Raz — wznieść lewe kolano do góry pod kątem prostym i opuścić, dwa — wznieść prawe i opuścić, trzy — lewe i t. d. do 16-tu.

4. Położyć się plecami na podłodze. Podnosić głowę i rozglądać się na boki, nie odrywają ramion od podłogi. 5 razy.

5. Siąść. Raz, dwa trzy — trzy uderzenia dłońmi o podłogę przy biodrach; cztery, pięć, sześć — trzy uderzenia przy stopach. Powtórzyć 5 razy.

6. Wstać. Rozkrok, ręce wzwyż. Raz — opad tułowia i oparcie się rękoma o podłogę; dwa — wzniesienie tułowia i rąk wzwyż. Powtórzyć 5 razy.

7. Oprzeć się rękoma o brzeg stołu w ten sposób, aby nie dotykać stopami podłogi i aby cały ciężar ciała wspierał się na rękach. Wytrzymać chwilę w tej pozycji. Jeśli siła rąk i wyćwiczenie na to pozwolą postarać się przejść ze 2 m. wzdłuż stołu na rękach.

8. Siąść na podłodze. Ręce spleść na głowie. Raz — skłon tułowia w lewo, dwa — powrót do pozycji wyjściowej, trzy — skłon w prawo, cztery — powrót. Przećwiczyć 5 razy. Dobrze jest wykonywać to w takt jakiejś melodji o tempie marszowem.

9. Wstać. Ręce w bok. Stanąć na palcach, lewej nogi, prawą wyprostowaną wznieść pod kątem 90 stopni, wytrzymać chwilę, opuścić. Stanąć na palcach prawej, lewą wznieść, wytrzymać, opuścić. Powtórzyć jeszcze raz od początku.

10. Do ćwiczenia tego potrzebna jest skakanka dziecinna albo zwykły gruby sznur dług. ok. 2 m. Trzymając w obydwu rękach końce sznura przeskoczyć przezeń obunóż i zarzucić nad głową, przeskoczyć i znów zarzucić i t. d. (do 10-ciu razy)

11. Bieg.

12. Marsz

OMÓWIENIE.

Jak Panie prawdopodobnie zauważyły 3 punkty każdej lekcji gimnastyki pozostają zawsze niezmienione.

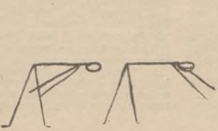
Są to 1 — postawa oraz 11 i 12 — bieg i marsz. Pierwszy, choć może się wydawać niepotrzebny, umieszczam stale, aby przypominał, że gimnastyki nie wolno rozpoczynać ze zgarbionemi plecami, z pochyloną głową i t. p. Przed rozpoczęciem ćwiczeń trzeba koniecznie sprawdzić, czy postawa ciała jest dobra.

Bieg, który w każdej lekcji występuje, ma tak ogromne znaczenie dla organizmu, że pominąć go niepodobna, a zastąpić niema czem. Jeżeli pokój, w którym mieszkamy, nie pozwala na osiągnięcie pewnej szybkości, takiej jak na wolnej przestrzeni i jeśli krążenie może grozić zawrotem głowy, można wykonywać bieg w miejscu, byle dosyć szybko podnosić i opuszczać kolana. Wpływ jego na czynności serca oraz narządów trawienia będzie prawie taki sam. Bieg można urozmaicić przez nagłe zwroty wtył i bieg w przeciwnym kierunku, bieg na palcach i t. p. Po biegu nie wolno siadać dla odpoczynku, ale zwolnić tempo i maszerować, aż się nieco ochłonie. Marsz ten powinien być naturalnie lekki i zwinny i tyle weń trzeba włożyć uwagi, co w każde inne ćwiczenie.

W lekcji dzisiejszej w ćwiczeniu 2 wymachy rąk powinny pociągnąć za sobą zwroty całego tułowia. W 5-tem i 6-tem plecy łatwo się garbią. Należy tedy skupić uwagę, aby do tego nie dopuścić i zachować ładną ich linję. Przypomnę tu jeszcze raz, to co wielokrotnie pisałam, że dobrze wykonane ćwiczenie ma estetyczny wygląd i lustro będzie najlepszym sędzią. Przy wykonywaniu ćwiczeń rytmicznych, a jest takich w dzisiejszej lekcji kilka, można myśleć jakąś melodję. Myśleć nie śpiewać, bo śpiewanie niepotrzebnie męczy i przeszkadza.

H. Wojnarska.

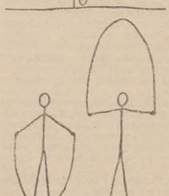
2



7



10



NASZA SKRZYNKA

Najuprzejmiej prosimy wszystkich, którzy piszą do „Naszej skrzynki", zarówno jak do działu „Odpowiedzi" o łaskawe przysyłanie tylko dla wiadomości Redakcji, pełnego adresu i nazwiska korespondenta. Wprawdzie nie bierzemy na siebie odpowiedzialności za żadne tranzakcje tą drogą przeprowadzone, nie możemy bowiem wszystkich danych sprawdzać, musimy jednak być w możności porozumienia się z piszącym bezpośrednio. Dla samych zresztą korespondentów jest to wygodniejsze, gdyż ułatwia przesyłanie szybsze ofert czy wiadomości. Listów zatem, do których nie będzie dołączony adres, drukować nie będziemy.

Szanowny Panie!

Przeczytałam Pana artykuł: „Rozmyślanie pokrzywdzonego" od deski do deski i zgadzam się z Panem najzupełniej. Dziękuję Panu za pięknie i z humorem napisany artykuł, i życzę ażeby Pan został choćby od jutra ustawodawcą, i mógł wprowadzić: pracę zarobkową przedewszystkiem dla mężczyzn, a nam kobietom niech zostanie dom i rodzina i umiejętne gospodarowanie mężowskiemi złotówkami (a nie groszami, jak do tej pory). Mąż mój zarabia 100 zł., komorne 20 zł., światło i opał 10 zł., jak żyć za resztę, żeby nie mieć długów? Mamy troje dzieci, skromne wymagania, a jednak ja staram się o pracę, bo z tej mężowskiej wyżyć nie można. Jeśli będę miała szczęście i dostanę jaką pracę, to muszę opuścić swoje małe, kochane dziewczynki, oddać je obcym ludziom pod opiekę, a sama iść zarabiać.

Chciałam Panu napisać wiele miłych słów za ten artykuł, ale wyszło nie tak jakbym chciała, widocznie nie mam zdolności do pisania.

Zasyłam Panu i Jego Żonie wiele miłych słów, które mam na myśli, a których nie udaje mi się przelać na ten papier.

Szanowne Panie.

Matka Marysi, Alinki i Haneczki.

P.S. Dlatego piszę z takiem opóźnieniem, bo numer 6 niedawno otrzymałam **W. P.**

Jestem zrozpaczona, już od wielu lat cierpię na zwyczajną łuszczycą (psoriasis), leczyłam się zawsze, ale z małym wynikiem, teraz łuska pokazuje się już i na twarzy, a lekarze leczą, jak leczyli przed 20 laty. Może która z Pań przechodziła jaką skuteczną kurację i zechce mnie o niej poinformować. Będę nieskończenie wdzięczna.

Ewa.

Dla Pani Jasiowej.

Rozweselił mnie Pani kłopot, ale proszę się na mnie nie gniewać. Mam bowiem wielką rodzinę i wszyscy mniej lub więcej są zabobonni. Jestem szczęśliwa, że się od wszelkich przesądów uwolniłam i nie uznaję żadnych amuletów. Jedynym moim amuletem to medalik M. B. Nieustającej Pomocy i moja wiara. Uwolniwszy się od przesądów, lżej mi jest i nie oczekuję nigdy nic złego, a jeżeli złe przyjdzie, to widocznie takie jest przeznaczenie i staram się takowe moim „amuletem" zażegnać. Przed dwoma laty przebudowałam mieszkanie i właśnie dlatego, że było mi niewygodne. W jednych pokojach są drzwi zamurowane w drugich przebite. Mam teraz wygodę i nie mam ani przeciągów, ani zapachów z kuchni.

Ale nie o to chodziło, więc przystępuję do najważniejszej części listu. Mam troje słabych na płuca dzieci i od czasu gdy przez przesunięcie drzwi zapewniłam im zdrowe powietrze i niema przeciągów przy przewietrzaniu, czują się moje dzieciaki znacznie lepiej.

Oprócz tego mam u siebie teścia 80 letniego, którego ubóstwiam i życzę mu jaknajdłuższego wieku, a już od 5 lat stale leży—nie byłoby nic dziwnego, gdyby chory i już tak stary dziadziunio umarł, ale nigdy nie przypisywałabym tego, przebiciu drzwi. Mam nadzieję, że mój kochany teść i moje najdroższe dzieciaki, przy pomocy Bożej żyć będą.

Smutne to, że świat nie może się z zabobonów otrząsnąć. „Sen mara, Bóg wiara".

„Amulecik".



Odpowiedź dla „Białej Róży".

Każdy człowiek posiada swoje credo. Czynnik, na który Pani zwraca uwagę, to zjawisko psychiczne. U każdego człowieka ten proces przejawia się inaczej. Trudno dla niego wyszukać jakiś stały szablon.

Nie dziwię się zupełnie temu, że otrzymałem odpowiedzi przeważnie od osób „nieszczęśliwych" i starszych. Te osoby, które nie znalazły szczęścia w samem małżeństwie, szukają go i znajdują w dziecku. Siebie odsuwają na plan drugi. Jej życie już się skończyło — już nic nie domaga się od świata, dobrowolnie odchodzi. To naprawdę biedna i godna litości osoba.

Mężatki szczęśliwe i zadowolone nie piszą, bo absorbuje je tyle spraw innych, że nie mają na to czasu. Te osoby zupełnie inaczej na to się zapatrują. Jestem b. Pani wdzięczny za naprawdę serdeczny i miły list. Ale... czyż aby napewno „z miłości" — Bardzo miło usłyszeć coś podobnego. To musi być bardzo przyjemnie „ożenić się z miłości"... ale zbyt często niestety niemądrze.

Marzymy o tem, myślimy skrycie — ale tylko skrycie, bo życie mówi nam wręcz coś przeciwnego.

Nie propaguję małżeństwa z wyrachowania, ale z rozsądku. Jest chyba w tem różnica? Nawet duża. W tem też powinna być choć cząstka uczucia, nawet koniecznie. Im więcej, tem lepiej. Ale tak idealnie — dlatego tylko z nią się żenić, że ją kocham, i że nic specjalnego nie stoi nam na przeszkodzie — to nie. To minie. Nawet prędko. Tem prędzej, im większe niepowodzenia materjalne nas dotkną.

Troski dnia codziennego są silniejsze od miłości. Ona wymaga pewnej oprawy, stale musi być pielęgnowana. Zwracam uwagę na czynnik ekonomiczny, który jest narówni ważny co uczucie. Powie Pani, iż o dobra materjalne powinien się mąż starać. Tak, ale proszę brać pod uwagę czasy obecne, wysokość płacy, którą pobierają ludzie młodzi.

Nie będę czekał zbyt długo na tę miłość, bo ona przeważnie, albo już była, albo jest bez wzajemności. Spotkałem cały szereg kobiet, które czekając na nią, odrzuciły inne propozycje i... jeszcze czekają. Teraz przyznają, że źle zrobiły.

Rady pewnych Pań podobały mi się bardzo. Sprawa już prawie zakończona. Wiem jak uczynię. Nie ożenię się zupełnie.

Słusznie Pani podkreśliła znaczenie pociągu fizycznego jako conajmniej równego z wszelkiemi duchowemi czynnikami. Nie można opierać wszystkiego na tej miłości „à la Anna - Katarzyna" — tej duchowej Wogóle tego oddzielnie analizować nie można. To całość wzajemnie uzupełniająca się. Ten pociąg fizyczny, o którym tak mało piszemy, w małżeństwie gra bardzo ważną rolę. Lwia część nieszczęść i zawodów opiera się na tem podłożu. To ciekawe, dlaczego Panie pisząc o wszystkiem, o tem zapominają. To sanktuarjum małżeńskie?

Na miłość, proszę Pani, nie należy specjalnie czekać. Nie! Dla nas każda może być ostatnią — bo każda wydaje się nam ostatnią. Każda jest pełna wiary, że przetrwa do końca. Wolę teraz ożenić się bez miłości, ale rozsądnie, niż po latach z miłości. Gdybym choć wiedział, że napewno ona przyjdzie. To racja, że miłość, to wielki los. Może to nietylko miłość ale i małżeństwo. Każdy los wydaje nam się szczęśliwy — ale przed ciągnieniem. Można nawet dobry „numer" wybrać — ale to nie dowód że on wygra.

Wolę jednak całego przyszłego życia nie opierać na tem. Panie mnie tak dobrze radzą: poczekam do czterdziestki. Guy Chantepleur ma też trochę racji.

Bardzo a bardzo był miły Pani list. Naprawdę tyle uczucia Pani w te zdania włożyła, że może zgrzytem będzie moja, nieco zatrzeźwa, odpowiedź. To już chyba ostatnia, dotycząca tego zagadnienia.

Teraz w „Naszej Skrzyneczce" dyskutujemy nad innemi problemami, np. „czy drzwi można przebić w ścianie" — bo „gdy drzwi się wybije, to się trumnę wynosi". Temat poważny. Wkrótce możemy spodziewać się pytań, czy szczęście nas spotka gdy spotkamy kominiarza, lub nieszczęście, gdy kot nam drogę przebiegnie?

Panie wybaczą za ironję, ale naprawdę spodziewałbym się wszystkiego, ale pytań, charakterystycznych dla epoki „kamienia łupanego" — nigdy. Tembardziej, że powołują się Panie często na poziom intelektualny skrzyneczki no i swój katolicyzm.

Tadeusz.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani „Emka".

Niech Sz. Pani z uwagi na niezwykle uporczywą obstrukcję u dziecka pokaże go poważnemu lekarzowi, albo w poradni dla dzieci, żeby radykalnie wpłynąć na to. Z odległości sprawa nie jest łatwa. Stosować oleju rycynowego a tembardziej parafinowego stale nie można. Olej parafinowy wprawdzie przynosi ulgę i usuwa narazie zaległe pokarmy, ale utrudnia trawienie.

Pokarm przez zasmarowane kiszki nie wsysa się do krwi i w końcu oragnizm na tem cierpi, następuje rodzaj wygłodzenia, bo pokarm bez pożytku przechodzi przez przewód pokarmowy. Jeżeli zmiana sposobu odżywiania nie pomaga, wypadnie energicznie leczyć, ale nie takiemi ostremi i obosiecznemi środkami. Nawet jeśli lekarz zaleci stosowanie oleju parafinowego raz jeszcze, już go nie dawać, bo się z jednego złego wpadnie w drugie. Byłoby najsłuszniej, gdyby można dziecko doprowadzić do normalnego stanu tylko odżywianiem umiejętnie stosowanem. Nie dawać dużo kleików i kaszek, które w tym wypadku lepiej podawać w małych ilościach, więcej zaś jarzynek, kompocików, kartofli tartych z masłem, nie zadużo mleka. Ponieważ ma, jak Pani pisze, wypróżnienia często co 4 dni i to z płaczem, trzeba koniecznie pokazać dobremu lekarzowi, który musi wniknąć w przyczynę, czego na odległość nie można zrobić. Lekarstw, a zwłaszcza oleju parafinowego już nie dawać, jeżeli obecnie bez pomocy samo nie może się wypróżnić, poważnie leczyć.

Jeżeli warunki materjalne są trudne najlepiej byłoby zwrócić się do Poradni Opieki nad Dzieckiem i Matką, gdzie Pani znajdzie specjalistę. Podalibyśmy gdzie jest najbliższa Pani poradnia, ale nie dała nam Pani swego adresu, znajdzie Pani adres w Kalendarzu Dziecka i Matki, który Pani posiada, na str. 317. O adres prosimy.

Wielmożny p. Konrad Śmigielski.

Za artykuł bardzo dziękuję, umieszczę bez zmian i skrótów, Sz. Pani za życzliwość i poparcie jestem szczerze zobowiązana.

P. „Este".

1) Czy stare, głęboko przesiąknięte plamy atramentowe dadzą się całkowicie usunąć, nie wiem.

Podaję zasady czyszczenia alabastru, dające dobre wyniki, mam nadzieję, że i w tym wypadku poskutkują.

Przedmioty alabastrowe myje się tylko zimną wodą z dodatkiem potażu, delikatnego mydła lub spirytusu. Potoknąć czystą zimną wodą. Po umyciu o ile zostają plamy, nakapać na nie terpentyny. Spłókać, wytrzeć i nakoniec wypolerować nabierając na flanelkę lub skórkę nieco miałkiej, szlamowanej kredy lub talku.

Trudność wywabienia plam atramentowych polega na tem, że alabaster nie znosi kwasów.

2) Czy Szanownej Pani nie zamienią puchu na pierze — to zależy od solidności firmy. Nie sądzę jednak, aby się na to zdecydowała, gdyż dałoby się to poznać po cięższej wadze. Jeżeli się mieszka na miejscu, można zaglądać w czasie roboty i sprawdzić co wsypali. Najpewniej byłoby wziąć koldrzarkę do domu i samej roboty dopatrzyć.

3) Nie proszę Pani, nie ubliża żadnej gospodyni zaglądanie do książki kucharskiej, jeżeli wogóle umie poważnem zachowaniem nakazać służącej szacunek. Starsze, dobre gospodynie obradują niejednokrotnie wspólnie ze służącą nad nową potrawą. Ukryć w domu można niewiele, lepiej zachowamy naszą powagę przez „przypomnienie" sobie czegoś z książki, niż przez zdradzenie się z ukrywaną niewiedzą, co zwykle musi nastąpić.

4) Do łyżki świeżego twarogu wsypać piątą część tej ilości wapna niegaszonego i zakitować cieniutką warstwą odpryśnięte w naczyniu emaljowanem miejsca. Naczynie winno być dobrze suche, następnie miejsca te zamalować kilkakrotnie lakierem białym do malowania wanien. Naczyń, w których się gotuje, tak reperować nie można.

P. Wandami.

Z pluszowej serwety można wywabić plamę atramentową przez nakapanie, względnie, gdy jest duża, zamoczenie w glicerynie a następnie wypłokanie. Prać można serwetę w lekkich mydlinkach i wiórkach panama.

Jeżeli jest bardzo delikatna, a niebardzo brudna da się doskonale oczyścić w sposób następujący. Po oczyszczeniu plam tłustych terpentyną, a atramentu gliceryną, spłókaniu splamionego miejsca i stwierdzeniu, że plama wyszła, pozwalamy jej wyschnąć i suchą pierzemy, a raczej udajemy, że pierzemy w grzanych otrębach

Pani J. J.

Haft zakopiański ludowy i wzory do niego w tem znaczeniu, jak Pani pisze, nie istnieją. Kobiety nie nosiły nigdy pięknych haftowanych koszul. Mężczyźni mają zdobione naszywaniem spodnie, spotykamy również rodzaj aplikacji na serdakach. Późniejsze hafty są już dziełem kompozycji artystów, na tematy ludowe, przeważnie snycerskie, sztuka bowiem zakopiańska to przedewszystkiem sztuka snycerska. Motywy takie jak szarotki, osty górskie, to są już rzeczy znacznie nowsze. Dlatego nie można podać wzoru na haft ściśle ludowy zakopiański. W nr. 10 Pr. Pani jeden wzór haftu na bluzkę z szarotkami jest oparty na nowszych tematach zakopiańskich. W jednym zaś z najbliższych podamy szlak z „parzenicą", typową dla rzeźby z drzewa. Otrzymaliśmy kilka próśb o haft zakopiański, dla wszystkich więc Pań podajemy niniejszą odpowiedź. W jednym z najbliższych numerów będzie motyw na poduszkę również w stylu zakopiańskim, można go również zastosować do haftu na płótnie. Gdyby żaden z wymienionych rysunków nie zaspakajał życzeń petentek, prosimy o bliższe dane. Możemy zapewnić, że szarotki z tablicy kroju w nr. 10 oraz te, które podamy niebawem, będą po wyhaftowaniu wyglądały ślicznie.

Pani S. A.

List w streszczeniu ogłaszamy, oryginał odsyłam do naszego lekarza. W następnym numerze podam rezultaty. Sprawę z kalendarzem da się naprawić. Przekaz pieniężny nie jest wcale napomnieniem, wkładany będzie stale, ponieważ łatwiej i prędzej włożyć go w każdy numer, niż wertować księgi, badając komu go przesłać należy. Wogóle w tych sprawach piszę właśnie w tym numerze kilka wyjaśnień.

Pani West na Kresach.

Ogólnego prawa o małżeństwie Sz. Pani w Dzienniku Ustaw nie znajdzie. Jeżeli chodzi o Królestwo Polskie, to obowiązuje jeszcze prawo z r. 1836 ogłoszone w „Dzienniku Praw" tom XVIII, ale tego nigdzie już nie kupi, można tylko przejrzeć w większych bibljotekach sądowych.

Na Kresach obowiązują jeszcze dawne prawa rosyjskie, które również trzebaby w urzędach lub u starszych adwokatów wyszperać. W „Kalendarzu Praktycznej Pani", który obecnie wyszedł znajdzie Pani niektóre wskazówki, które może wystarczą.

W sprawie ręki, odpowiedź będzie w następnym numerze.

Pani Wiga.

W wypadku, kiedy trzeba utyć, a brak do tego usposobienia, należy koniecznie połączyć forsowne odżywianie z leżeniem przez sześć tygodni. Nie trzeba jadać wtedy rzeczy ciężkich, ale zjeść coś smacznego, tłustego, słodkiego co dwie godziny, między 9-tą rano a 9-ą wieczór najpóźniej, czyli siedem razy. Sporo masła, oliwy, uważać jednak, aby naskutek leżenia nie było obstrukcji.

Prenumeratorce „z Kielecczyzny".

O piegach wyjdzie artykuł w nr. 13 najdalej 14-ym Pr. Pani. Żeby biust wydawał się mniejszy, należy przedewszystkiem unikać ściskania brzucha, gdyż wnętrzności podepchnięte pod przeponę, sprawiają, że i pierś się naprzód wypina. Nie należy biustu mocno ściskać tylko utrzymywać go w ryzach i nie za krótkie dawać ramiączka, gdyż biust podniesiony wydaje się większy niż lekko opuszczony (byle nie zwisał ciężko bo mu to szkodzi), którego linje zacierają się w luźnych bluzkach i pod żabotem.

z cukrem i mąkę przez dłuższy czas stale. Zakitować starannie szpary koło komina, zlewu i t. p.

Z pluskwami trzeba walczyć uporczywie, dużo jest niezłych środków, ale najwięcej znaczy skuteczne i długotrwałe oczyszczanie. Zerwać tapety, ściany dobrze zmyć gałganem umoczonym w terpentynie z amonjakiem, dziury wyskrobać i zakitować kitem z solą. Gdy terpentyna i amonjak wyschną, zaciągnąć ściany roztworem, możliwie mocnym, soli kuchennej z wodą. Wogóle szpary w ścianach, drzwiach, meble z tyłu i t. p. najlepiej smarować mocnym roztworem soli, spryskiwać sienniki, smarować materace i t. p., ale nie wystarczy robić tego raz, tylko trzeba powtarzać stale, aż się zupełnie wygubią. Jeżeli cały dom zapluskwiony, trzeba aby wszyscy mieszkańcy równocześnie wydali wojnę, bo będą przechodziły od sąsiadów.

Pani A. S. w Tatarowie.

Wzory na meble staramy się podawać, o ile mi wiadomo, a mam zagraniczne pisma, w piśmie przez Sz. Panią wymienionem bywają, ale bez wymiarów. W nr. 13 będą meble kuchenne nowoczesne, następnie postaram się kolejno o dalsze.

Podawaliśmy już półki i szafy w 23, 24 i 27 Pr. Pani. W nr. 29-ym były fotele z podanemi wymiarami. Jeżeli Sz. Pani nie była jeszcze wówczas prenumeratorką, moglibyśmy ten numer albo wszystkie razem za nadesłaniem należności wysłać.

Stałej Czytelniczce z Krakowa.

Skórę z białego barana czy kozy najlepiej oczyścić w sposób następujący: sporą paczkę magnezji rozrobić z benzyną na gęstawą śmietanę i dobrze natrzeć. Gdy wyschnie, wyczyścić szczotką lub wytrzepać przez gałganek.

Pani Zofja Chr.

Farbować materjały można bez wielkiego trudu kupnemi farbami w składzie aptecznym, trzymając się pilnie wskazówek. Należy koniecznie przedtem materjał oczyścić, wyprać i mokry kłaść do farby. Trzeba też pamiętać, że materjał w pasy spłowiałe nie będzie nigdy równy, bo i po ufarbowaniu będzie miał te cienie, trzeba taki materjał farbować na czarno w mocnym roztworze. Pozatem trzeba, aby materjał miał dużo miejsca, trzeba go mieszać, bo jeśli się porobią fałdy, to może do nich nie dojść farba. Wreszcie trzeba pamiętać, że niektóre kolory, łącząc się z innemi, dają inne barwy. I tak jeśli Pani włoży żółty materjał w niebieską farbę, kolor będzie zielony, różowy w niebieską da lila albo fioletowy, dlatego materjał o wyraźnym kolorze trzeba na próbce wypróbować. Serdaczek postaramy się zamieścić.

P. Krystyna K.

Po oczyszczeniu plam na trzewikach zamszowych benzyną, przygotowujemy następującą mieszaninę. Delikatną, miałką kredę napuścić farbą w kolorze obuwia, dać wyschnąć i schować do słoika. Tę kredę rozrabiamy następnie gdy potrzeba benzyną na śmietanę i oczyszczony trzewik nacieramy. Gdy wyschnie, wycieramy kredę szczotką.

„Dla p. Bożeny".

Wyjście kalendarza opóźniło się z powodu trwającego dotychczas jeszcze z małemi przerwami strajku drukarzy. W tej chwili kalendarz jest gotów, prosimy jednak o trochę cierpliwości, gdyż rozesłanie tylu egzemplarzy także wymaga sporo czasu. W razie gdyby Sz. Pani długo czekała, proszę napisać, zareklamuję. O szyciu bielizny będzie obecnie sporo artykułów.

Lampy spirytusowe z koszulkami żarowemi są bardzo miłe w użyciu, tylko oczywiście ze względu na palność materjału trzeba się z niemi obchodzić ostrożnie. Lampy naftowe są ekonomiczniejsze, ale gorsze.

Co się tyczy zębów, to białość ich nie zależy tylko od czyszczenia ale od składu kości. Zęby nieco żółte są lepsze i mocniejsze, bardzo białe słabsze, i u słabszych najczęściej zdarzają się osób. Niema lepszego środka nad kredę z zapachem mięty z odrobiną czystej soli, do czyszczenia zębów.

Obecnie zalecają również gryzienie surowej marchwi, co podobno znakomicie wzmacnia dziąsła.

P. Sabina W.

Naukę szycia niebawem rozpoczynamy. Litery znajdzie Pani już w następnym numerze.

O wągrach pisaliśmy już i napiszemy jeszcze osobno w artykuliku kosmetycznym. Co się tyczy wełny, to nie da sobie Pani z nią rady sama, jeżeli jest ładnie, starannie, umiejętnie zebrana, można ją zamienić na włóczkę gotową w zakładach Trójkąt w Kole w Bielsku. Bez przyrządów trudno będzie coś zrobić samej. Hodowcy królików mają związek przy stacji doświadczalnej w Maszycach (Trójkąt w Kole, Bielsk) i tam wełnę zbywają. W niewielkiej ilości nie mogą jej sami stosownie przerobić.

SZANOWNE I KOCHANE CZYTELNICZKI

Dzisiaj ja, jako redaktorka „Proszę o głos", gdyż chciałabym pewne sprawy omówić i wyjaśnić. Postawiłam sobie za zadanie postępowanie zawsze szczere i otwarte i wiem, że tylko wtedy będę mogła liczyć na przyjaźń i uznanie Czytelniczek, jeżeli zawsze, ile razy będzie coś do wytłumaczenia, wytłumaczę i wyjaśnię, a nawet, jeżeli zajdzie tego potrzeba, przeproszę.

Stale w listach do Redakcji, a zwłaszcza administracji zjawiają się skargi i żale na to, że niektóre panie, które już opłatę wniosły, otrzymują napomnienia.

Jedna z Pań określiła nawet, że administracja prowadzona jest „po babsku". Otóż Szanowne Czytelniczki, sprawa ta z bliska tak wygląda. Zakłady graficzne i wydawnicze, w których wychodzi Praktyczna Pani, drukują jeszcze poza nią kilka pism, książki, ulotki, reklamy i t. p., tak duże przedsiębiorstwo ma dużą administrację, prowadzoną wyłącznie przez mężczyzn, a wspólną dla wszystkich pism i wydawnictw. Zrozumiałe jest, że gdzie się wysyła kilkadziesiąt tysięcy numerów tygodniowo, nieuchronne jest od czasu do czasu jakieś małe uchybienie. Możemy tylko prosić najusilniej czytelniczki, które otrzymały napomnienie o zapłatę, jakie im się nie należało, aby skierowały na nasz koszt wyjaśnienie do administracji i chciały uwierzyć, że niema w tem ani złej woli ani nawet nieporządku, bo w tak wielkiej ilości wysyłek niepodobna nawet przy sprawnej organizacji uniknąć uchybień.

Zawsze się u nas stawia za wzór zagranicę, otóż ja w zeszłym roku abonowałam pewien miesięcznik angielski, za który zgóry wniosłam opłatę roczną. W ciągu roku otrzymałam trzy napomnienia o zapłatę, które poprostu wrzuciłam do kosza, dopiero kiedy mi zatrzymali jeden numer odezwałam się w tej sprawie.

Drugi wypadek był następujący: naskutek pomyłkowego adresu przysyłano mi pewne niemieckie pismo zawodowo-techniczne. W ciągu 5 miesięcy, co miesiąc otrzymywałam wezwanie do zapłaty, co miesiąc prosiłam, żeby wysyłkę wstrzymali, bo nie jestem tym, za kogo mnie biorą. Po pięciu miesiącach, nagle wysyłki zaprzestano. Prawdopodobnie wobec wielotysięcznego nakładu i olbrzymiej korespondencji, dopiero po dłuższym czasie administracja rozpatrzyła moją sprawę.

Tymczasem Panie winią nas o nieporządki i z goryczą i wymówkami posądzają o złą wolę i niedbalstwo.

Mimo że radakcja a administracja, to dwie zupełnie różne rzeczy, biorę bardzo do serca te sprawy, staram się je wyjaśnić i w miarę możności poprawić, ale zgóry najmocniej proszę o wybaczenie i wyrozumiałość, gdy się coś takiego zdarzy.

Niektóre panie ze zdumieniem podkreślają fakt, że znajdują w numerach pisma przekazy, kiedy już opłat dopełniły.

Otóż w tym wypadku rzeczy tak się mają: przeglądanie kont i badanie kto zapłacił, kto nie, zajmuje bardzo dużo czasu, wkładanie zaś przekazów przy składaniu numerów odbywa się zupełnie mechanicznie.

Jednej Pani się przyda, to go użyje, innej jest już niepotrzebny to go wyrzuci, a w ten sposób załatwia się to szybciej, niż gdybyśmy je wysyłali indywidualnie. Nie mają jednak wcale znaczenia upomnienia czy t. p.

Dalej sprawa wysyłki pisma i kalendarza. Od kilku tygodni trwa, nie u nas, ale na całym terenie Rzplitej strajk drukarzy. Pisma codzienne już wychodzą normalnie, ale tygodniki walczą z ogromnemi trudnościami.

To właśnie opóźniło tak fatalnie wyjście kalendarza, który już się jednak skończył i rozesłany będzie napewno.

To są sprawy pozaredakcyjne, pragnę jednak całą duszą, aby czytelniczki nie miały w sercu przeciw nam cienia goryczy, a widząc moje starania i dobre chęci, odniosły się pobłażliwie do zdarzających się zawsze w wielkiej masie opóźnień lub niedopatrzeń. Wiele Pań reklamuje również, że nie otrzymały jeszcze zamówionych książeczek. Byłam wczoraj w ekspedycji. Na stołach leżą tysiące paczek, zaadresowanych i gotowych do wysłania, inne się jeszcze adresują. Stosy! Stosy! Zamówień było więcej niż przewidywano, nie można nadążyć z wysyłką.

A teraz kilka słów od redakcji. Pisałam już o tem ale dla całokształtu pragnę jeszcze raz powtórzyć. Bardzo wiele listów właściwie przeznaczonych dla Redakcji, adresowanych jest do Administracji, albo zawierają sprawy i administracyjne i redakcyjne. Zawsze niemal są one do mnie odsyłane w porządku, może się jednak zdarzyć, że list wędruje przez to długo, że zanim z powodzi spraw administracyjnych dojdzie do Redakcji, pytanie staje się nieaktualne, czasem nawet zginie. Dlatego proszę Panie korespondentki, aby adresowały do Redakcji, w ważniejszych sprawach nawet na nazwisko redaktorki i wogóle liczyły się z tem, że odpisując kolejno, musi to trochę potrwać. Im wcześniej zatem Panie zdecydują się napisać, tem lepiej.

Redaktorka.

TELEFON OD „PRAKTYCZNEJ PANI"

Hallo! Hallo!

Jeżeli fortepian czy pianino są nieco zmatowiałe, należy wziąć nieco otrębów, zwilżyć lnianym olejem i cały mebel dobrze natrzeć, a następnie flanelą lub irchą mocno wyglansować.

Jeżeli są miejsca zmatowiałe z powodu „wypocenia się" politury, przetrzeć je następującą mieszaniną. Rozpuścić 2 gramy żywicy benzoesowej w 25 g benzyny, a w momencie użycia dolać wody na łyżkę benzyny z benzoesem trzy łyżki wody przegotowanej, chłodnej.

Odpoliturować można w sposób następujący:

Rozpuścić 60 g szellaku w pół litrze spirytusu. Kawałek waty zwijamy w ścisłą kulkę i obwiązujemy dwoma, trzema warstwami starego, miękkiego płótna, które zawiązujemy u góry, formując z końców rodzaj trzymadła. Na ten kłębuszek nakapać odrobinę gotowanego oleju lnianego i kilka kropel przygotowanej z szellaku politury.

Politurujemy, robiąc na meblu małe kręgi dopóty, dopóki powierzchnia nie będzie gładka i błyszcząca.

Myliłby się, ktoby myślał, że szybkie i skuteczne politurowanie zależy od obfitości politury. Przeciwnie, zbytek przepala politurowane miejsca. Na watę należy naprawdę nalewać po kilka kropli i dolewać nie wcześniej, aż zupełnie wyschnie.

Ponieważ domowem odnawianiem trudnią się zwykle osoby mniej doświadczone, należy na pierwszy początek wybrać sobie miejsce na meblu niewidoczne, np. w pianinie jakiś punkt zasłonięty klawiaturą i na nim spróbować. Najlepszy przepis wymaga jeszcze oprócz dokładnej miary, poczucia i wprawy.



Przepisy kulinarne

Sos grzybowy

Łyżkę mąki zrumienionej lekko w piecyku lub na patelini rozetrzeć z łyżką masła, rozprowadzić mniej więcej dwoma szklankami smaku z suszonych grzybów, których na tę proporcję wystarczy 3 — 4. Smak przygotować z cebulą podpieczoną i włoszczyzną. Włożyć ugotowane na miękko, drobno posiekane grzybki, szczyptę cukru, kto lubi trochę soku z cytryny i zielonej, siekanej pietruszki. Solić do smaku.

Bardzo dobry do kotletów z kartofli, do makaronu, do ryby.

Farsz grzybowy

Podrumienić łyżkę siekanej cebuli w łyżce masła, wsypać tartej bułki dwie łyżki, trzy drobno usiekane grzybki suszone ugotowane na miękko, łyżkę smaku grzybowego, dwie łyżki śmietany, jajko na twardo drobniusieńko usiekane, mieszać na ciepłym piecu aż bułka dobrze nabrzmieje. Gdyby farsz był nieco rzadki, dosypać bułeczki, do zbyt gęstego dolać smaku grzybowego. Nadziewać pierożki z ciasta francuskiego lub kruchego.

Farsz grzybowy

5 deka grzybów ugotować na miękko, usiekać. Smak użyć na ugotowanie w nim pół szklanki ryżu na sypko. Zmieszać ryż z grzybkami, dodać trochę cebuli zrumienionej z masłem.

Farsz grzybowy

5 deka grzybów ugotować i usiekać, dodać cebulę zrumienioną, siekane twarde jajko, gotowanej lub nawet smażonej ryby bez skórki kilka łyżek, również usiekanej, podtlusić razem w maśle, ostudzić, użyć na farsz do pieroga kruchego, na drożdżach i t. p.

Grzyby zapiekane

10 deka grzybów ugotować jak wyżej, ale nie siekać a cienko pokrajać i podsmażyć w maśle z cebulą, dodać półkwaterek śmietany, dwa żółtka, posolić, popieprzyć, dodać trochę smaku z grzybów i kartofli pokrajanych w kostkę, gotowanych 4 — 5, wymieszać, ułożyć w muszelki do zapiekania albo na półmiseczek blaszany, polać masłem z bułką, zapiec.

Kotlety z grzybów

20 deka suszonych grzybów ugotować, drobniutko usiekać, dodać szklankę i pół śmietany lub śmietanki, 5 deka masła, 4 jajka, soli, pieprzu, kto lubi muszkatołowej gałki, trochę podsmażonej cebuli, gotowanej lub smażonej ryby usiekanej ze cztery łyżki, albo jeżeli danie nie ma być koniecznie postne, tyleż szynki i tartej bułki tyle, aby się zrobiło gęstawe ale nie za gęste, bo gdy bułka postoi, zbryknie i zgęstnieje. Obtoczyć w jajku i bułce i smażyć jak wszelkie kotlety.

Przypominamy Czytelniczkom, że w nr. 42 był kawior grzybowy, w nr. 3 r. b. makaron z grzybami oraz że duże ładne grzyby doskonałe są smażone w cieście, przygotowanem jak na naleśniki. Umoczony w tem cieście grzybek smaży się po obu stronach na rumiano i podaje na gorąco. Dajemy do tego chrzan tarty z sokiem z cytryny albo sos pomidorowy.

Tarty chrzan

Jest w użyciu niemal powszechnem, przygotowany jednak bywa przeważnie poprostu z octem lub z cytryną. Żeby chrzan był naprawdę smaczny, należy go i trochę posolić i trochę pocukrzyć, dopiero zakwasić cytryną. Dobry jest chrzan, do którego zamiast innej przyprawy dać utarte jabłko, albo miąższ owocowy z pomarańczy. (Nie biały miąższ z pod skóry ale sam środek owocu.

SPROSTOWANIE

W numerze 10 Prak. Pani w lekcji roboty na drutach wkradła się omyłka druku. W próbce nr. 4, w nawiasie winno być (Na próbce — 50 oczek), co niniejszym prostujemy.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie od dn. 22 III. - 28 III. 36 r.

NIEDZIELA 22.III.

-0.00 — Transmisja nabożeństwa z Torunia
12.15 — Poranek muzyczny z Katowic
W przerwie około godz. 13.00 Fragment słuchowiskowy z dramatu p. t. „Wilki w nocy" Tadeusza Rittnera
14.00 — „Narodziny małego synaczka w starym puszczańskim dworzyczku", rozdz. I-go tomu powieści Zofji Kossak p. t. „Krzyżacy"
14.20 — „Taka sobie muzyczka"
15.00 — „Godzina rolnika"
16.00 — „Chwilka pytań"
16.15 — Koncert reklamowy
16.50 — „Piotr Płaksin" Tuwima — słuchowisko
17.30 — „Podwieczorek przy mikrofonie"
19.40 — Wiadomości sportowe lokalne
19.45 — „Co czytać" — nowości poetyckie omówi Władysław Sebyła
20.00 — Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej z Gdyni
20.45 — Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego
20.50 — Dziennik wieczorny
21.00 — „Na wesołej lwowskiej fali"
21.30 — „Goście w Objezierzu" — felieton
21.45 — Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni P. R.
22.00 — Wilhelm Grosz: „Afryka śpiewa"— suita na mezzosopran, baryton i orkiestrę kamer.
22.30 — Muzyka taneczna

PONIEDZIAŁEK 23.III.

12.15 — „Opryskiwanie drzew warunkiem zyskowności sadu" — pogadanka
12.25 — Koncert zespołu Haliny Adamskiej
13.25 — Chwilka gospodarstwa domowego
15.30 — Minione przeboje
16.00 — Lekcja języka niemieckiego
16.15 — Pieśni w wykonaniu A. Korytko-Czapskiej
16.45 — Skecz „Kupiłem płaszcz"
17.00 — „Dziecko w rodzinie bezrobotnej" — pogadanka
17.15 — Wiersze Aleksandra Fredry
17.20 — Recital Grażyny Bacewiczówny
17.50 — „Trzmiel — trębacz wiosenny" — pogadanka
18.00 — Koncert orkiestry pracowników tramwajowych i autobusów miejs.
18.30 — Listy od dzieci
18.55 — Aktualna pogadanka gospodarcza
19.35 — Wiadomości sportowe
19.45 — Pogadanka aktualna
20.00 — Koncert w wykonaniu Kapeli Ludowej
20.55 — Obrazki z Polski współczesnej
21.00 — Turniej tenorów
21.30 — Wieczór lit. „Nieznane rękopisy Henryka Sienkiewicza"
22.00 — Koncert symfoniczny
23.05 — Muzyka taneczna

WTOREK 24. III.

12.15 — „Przyjaciele" — bajka Ignacego Krasickiego — audycja dla szkół
12.30 — Koncert z udziałem solistów
13.25 — Chwilka gospodarstwa domowego
13.30 — „Z rynku pracy"
15.30 — Koncert zespołu Jadwigi Klechniowskiej
16.00 — Skrzynka P.K.O.
16.15 — Drewniane instrumenty (płyty)
16.45 — „Cała Polska śpiewa"
17.00 — „Skarby Polski" — odczyt
17.15 — Potpourri z operetki „Skowronek" i „Carewicz" Franciszka Lehara
17.50 — Skrzynka językowa
18.00 — Recital fortepianowy Ryszarda Wagnera
18.30 — „Najazd reportażu na powieść polską" dyskutujmy — szkic literacki
18.55 — „Skrzynka rolnicza"
19.05 — Koncert reklamowy
19.35 — Wiadomości sportowe
19.45 — Pogadanka aktualna
20.00 — „Gitara" — monolog
20.10 — „Tannhäuser — opera w 3 aktach Ryszarda Wagnera, transmisja z z Teatru Wielkiego
W przerwie I-szej — dziennik wieczorny, w przerwie II-giej — „Obrazki z Polski Współczesnej"

ŚRODA 25.III.

12.03 — Dziennik południowy
12.15 — „Dziecko w wieku przedszkolnym": „Walka z chorobowością" — pogadanka
12.30 — Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego
13.25 — Chwilka gospodarstwa domowego
15.20 — Przegląd giełdowy
15.30 — Muzyka z płyt
16.00 — „Kurek na dzwonnicy" — obrazek słuchowiskowy
16.20 — Recital śpiewaczy Eugenjusza Maja
16.45 — Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja
17.00 — „Miejsce dla młodych" — dyskusja nieprzygotowana
17.20 — Ignacy Dobrzyński: Kwintet na dwoje skrzypiec, altówkę, wiolonczelę i kontrabas
17.50 — „O książce Willama Bragg'a", „Światło" — dr. Kazimierz Maślankiewicz z Krakowa
10.00 — „Pół godziny w Hiszpanji"
18.30 — „Skrzynka ogólna"
18.55 — „Poznajmy przepisy finansowo - rolne"
19.35 — Wiadomości sportowe
19.45 — Reportaż aktualny
20.00 — Koncert Kwintetu Salonowego Henryka Golda i piosenki w wykonaniu M. Fogga
20.45 — Dziennik wieczorny
20.55 — „Obrazki z Polski współczesnej"
21.00 — XXIX-ta audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina"
21.40 — „Wśród młodych poetów"
21.55 — Aktualna pogadanka gospodarcza
22.05 — Audycja poświęcona Grecji
22.25 — Koncert Małej Orkiestry P. R.

CZWARTEK 26.III.

12.03 — Dziennik południowy
12.15 — Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych z Wilna
13.00 — Muzyka z płyt
13.25 — Chwilka gospodarstwa domowego
15.20 — Przegląd giełdowy
15.30 — Muzyka salonowa w wykonaniu zespołu salonowego Ork. 63 p.p.
16.00 — „Wiersze dla dzieci" Kornieja Czuchowskiego — przekład z rosyjskiego
16.20 — Muzyka lekka
16.50 — „Cała Polska śpiewa"
17.05 — „Mieszczaństwo w dziejach i życiu narodu", „Mieszczaństwo krakowskie" — odczyt wygłosi dr. Dobrzycki z Krakowa
17.20 — III Koncert z cyklu „Najpiękniejsze sonaty Mozarta"
17.55 — Aktualna pogadanka gospodarcza
18.00 — Recital śpiewaczy Franci Morni
18.30 — „Film, plastyka, architektura"
18.40 — „Jak spędzić święto?"
18.55 — Feljeton
19.35 — Wiadomości sportowe
19.45 — Pogadanka aktualna
20.00 — Muzyka lekka w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
20.45 — Dziennik wieczorny
20.55 — „Obrona przeciwlotniczo-gazowa" — pogadanka
21.00 — Słuchowisko poetyckie p. t. „Historja o żołnierzu" w nowem opracowaniu reżyserskiem
21.40 — „Nasze pieśni"
22.10 — Recital skrzypcowy Jacques'a Thibaud.
22.50 — Muzyka taneczna

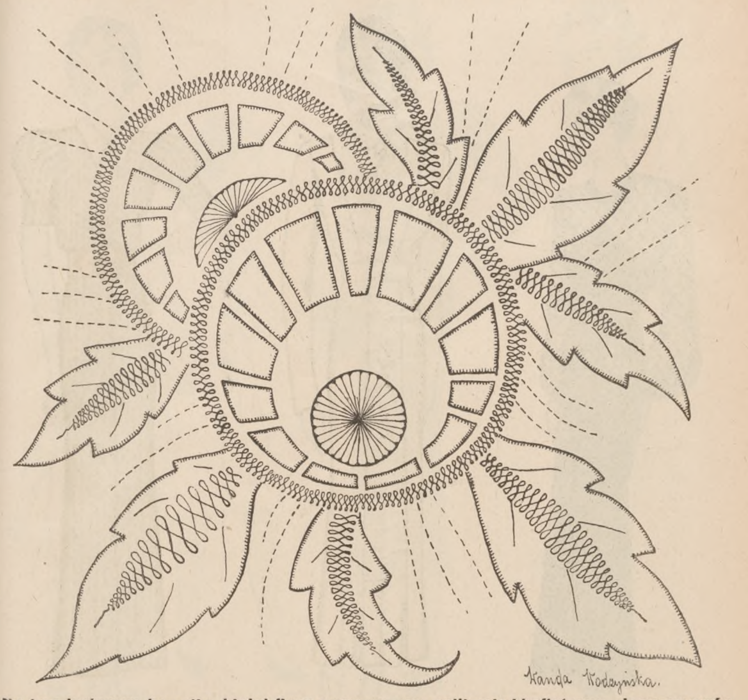
PIĄTEK 27.III.

12.15 — „Kucie kos" słuchowisko — audycja dla szkół
12.40 — Koncert z udziałem solistów
13.25 — Chwilka gospodarstwa domowego
15.30 — Koncert zespołu Wacława Ruszkowskiego
16.00 — Pogadanka dla chorych
16.15 — Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa
16.45 — Odczytanie fragmentu z książki Tadeusza Nittmana p. t. „Mały Piłsudczyk"
17.00 — „Skarby Polski" — odczyt
17.15 — Wiersze Bolesława Leśmiana
17.20 — Koncert Łotewski Chóru Mieszanego Reitera Koris
17.50 — Poradnik sportowy
18.00 — Muzyka lekka
18.30 — Pogadanka aktualna
18.50 — Pogadanka społeczna
18.55 — „Skrzynka rolnicza"
19.05 — Koncert reklamowy
19.35 — Wiadomości sportowe
19.45 — Komunikat śniegowy z Krakowa
19.50 — Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami radja
20.00 — Koncert symfoniczny w programie „Potępienie Fausta" — legenda dramatyczna w 4-ch częściach Hektora Berloza
W przerwie: — Dziennik wieczorny oraz „Obrazki z Polski Współczesnej"
22.30 — „Skrzynka techniczna"
22.50 — „Spacer po Europie" — ratransmisje ze stacyj zagranicznych

SOBOTA 28.III.

12.15 — Pogadanka rolnicza praktyczna
12.25 — Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej
13.25 — Chwilka gospodarstwa domowego
14.30 — Muzyka lekka
15.00 — „Śledź" — fragment z powieści
15.15 — „Nasz handel morski"
15.30 — Zespół kameralny Niny Mańskiej
16.00 — Lekcja języka francuskiego
16.15 — Słuchowisko dla dzieci młodszych p. t. „2 plus 2 = 4" Stanisława Sojeckiego
16.45 — „Cała Polska śpiewa"
17.00 — „Polacy na dalekich lądach i morzach" — odczyt
17.15 — Nowości z płyt
17.45 — „Świat naszych roślin": „Jodła"— pogadanka
17.50 — „Mówmy o prowincji" — „Zanik prowincji" — pogadanka, wygł. Kazimierz Leszczycki z Krakowa
18.00 — Koncert solistów
18.40 — Przegląd wydawnictw
19.35 — Wiadomości sportowe
19.45 — Pogadanka aktualna
20.00 — „Comic-jazz-Revue". Lekka audycja Adolfa Fleischera ze Lwowa
20.55 — „Obrazki z Polski współczesnej"
21.00 — Audycja dla Polaków zagranicą „Obrazki z dziejów mieszczaństwa polskiego"
21.30 — „Wesoła Syrena" — audycja p. t. „Dawny znajomy"
22.00 — Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Mieczysława Mierzejewskiego z udziałem Sergjusza Benoni'ego
23.05 — Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.

PODUSZKA Z AKSAMITU



Na kwadratowym kawałku białej flory przyszywamy aplikację i haftujemy załączony wzór. Listki zielone, żyłki złote *(ścieg „Janina")*. **Środek kwiatu złoty** *(dzierganie ze środkowego punktu kółeczka.)* **Płatki kwiatów — aplikacja niebieska. Ścieg** *„Janina"* **dokoła kwiatów haftujemy kolorem złotym. Barwy dobierzemy pastelowe.**

Do zahaftowanego motywu przyszywamy 4 pasy niebieskiego aksamitu w sposób uwidoczniony na rysunku na str. 15. Na rogu poduszki przyszywamy złote chwasty.

KRATY BĘDĄ I SĄ MODNE



527 pp. Suknia z materjału gładkiego łączona z odpowiedniej barwy kratą.

528 pp. Sukienka z lekkiej wełny lub płócienka.

529 pp. Lekka suknia z cienkiej wełny lub sztucznego jedwabiu.

DLA NASZYCH CÓREK



523 pp. Sukienka dla dwuletniej dziewczynki.

524 pp. Jednolita sukienka dla dwunastoletniej panienki. Jasna wełna.

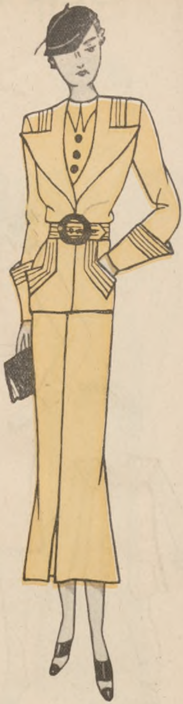
525 pp. Spódniczka z bluzką jasna popielata albo kremowa wełna, kołnierz i wyłogi z rożowego jedwabiu.

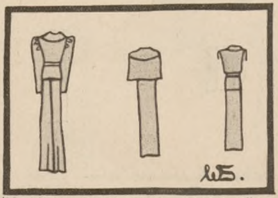
526 pp. Suknia dla dziewczynki 8—10-letniej z przypinanemi mankietami i kołnierzem z batystu.

LADA DZIEŃ BĘDZIE WIOSNA WPEŁNI







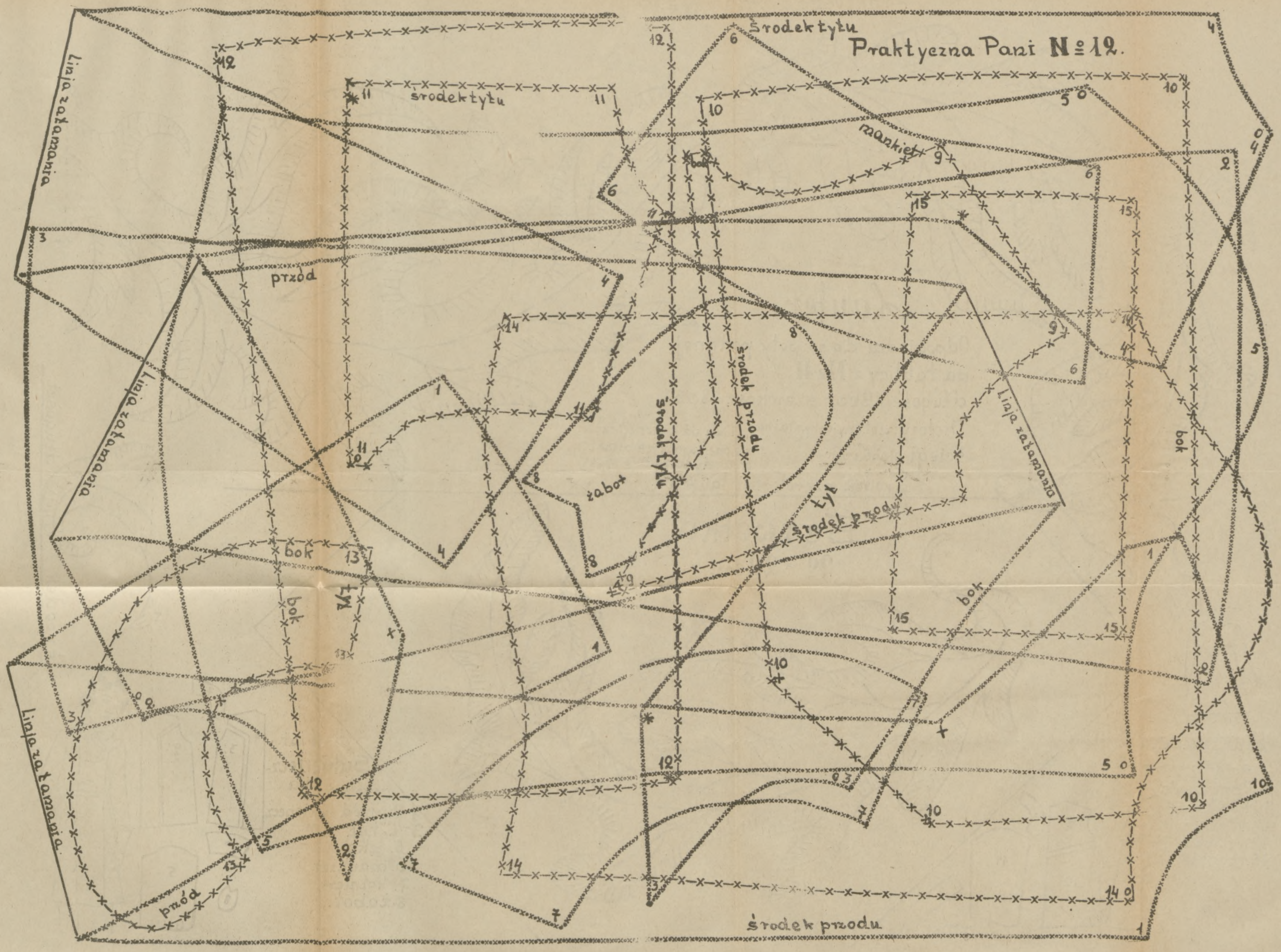


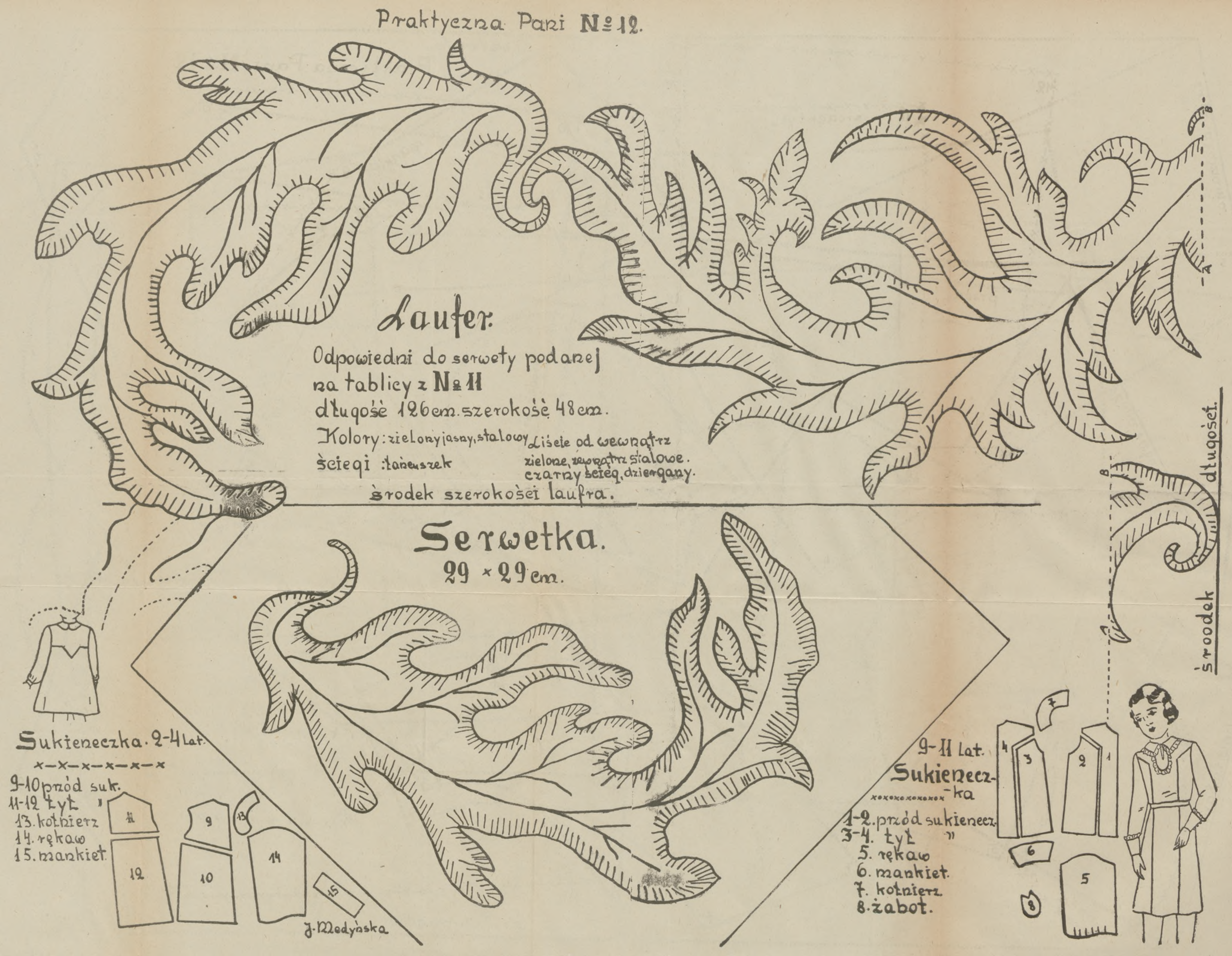
520 pp. Suknia z wełny koloru ciemnowiśniowego. Kołnierzyk z grubego jedwabiu naszywany sutaszem.

521 pp. Suknia z wełny w prążki, peleryna w odcieniu odpowiednim do tła sukni.

522 pp. Kostjum z sukna albo grubego marocain'u ozdobiony plisami.

Redaktorka ANTONINA DEMBIŃSKA. Wydawca: Towarzystwo Wydawnicze „Bluszcz", Warszawa.
Druk i Klisze w Zakł. Graficznych Towarzystwa Wydawniczego „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.


Praktyczna Pani № 12.
środek tyłu
mankiet
przód
Linja załamania
żabot
środek tyłu
środek przodu
tył
bok
przód
środek przodu


Praktyczna Pani №12.
Laufer.
Odpowiedni do serwety podanej
na tablicy z № 11
długość 126 cm. szerokość 48 cm.
Kolory: zielony jasny, stalowy
ściegi: łańcuszek
Liście od wewnątrz
zielone, zewnątrz stalowe.
czarny ścieg, dziergany.
środek szerokości laufra.
długość
środek
Serwetka.
29 × 29 cm.
Sukieneczka. 2-4 Lat.
9-10 przód suk.
11-12 tył "
13. kołnierz
14. rękaw
15. mankiet
J. Medyńska
9-11 Lat.
Sukieneczka
1-2. przód sukienecz.
3-4. tył "
5. rękaw
6. mankiet.
7. kołnierz.
8. żabot.